Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI. Warszawa, 16 stycznia 1955 r. Nr 2 (476)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

CIV 9013

ANDRZEJ KRASIŃSKI

PERSPEKTYWY DALSZEJ WALKI

Po wielodniowych dramatycznych debatach zapadła wreszcie w Zgromadzeniu Narodowym upokarzająca Francję uchwała ratyfikacyjna. Upokarzająca, bo powzięta nie tylko wbrew obiektywnemu interesowi kraju i jego niedawnym tragicznym doświadczeniom, ale także wbrew subiektywnemu przekonaniu większości deputowanych. Wśród kilkudziesięciu mówców zabierających głos w debacie zaledwie kilku opowiedziało się bez zastrzeżeń za ratyfikacją. Wszyscy inni, nawet ci, którzy ostatecznie głosowali za ratyfikacją układów, dawali wyraźnie wyraz swemu lękowi przed krokiem, do którego czuli się zmuszeni.

Nie po raz pierwszy w ostatnim czasie historia bieżących wydarzeń politycznych daje nam wyrazistą ilustrację sformułowanej na naszych łamach tezy, że „patriotyzm jest na lewicy". Pełne tragizmu debaty francuskiego Zgromadzenia Narodowego świadczą, że pewien fatalizm niezależnie od indywidualnych intencji poszczególnych polityków ugrupowań burżuazyjnych zmusza ich do sprzeniewierzenia się interesom własnego narodu.

Istotnie, deputowani Francji postawieni zostali przed dylematem, którego nie podobna rozwiązać w ramach błędnego koła pojęć i interesów mieszczańskich. Albo narazić się na utratę amerykańskiego „protektoratu" gwarantującego względną równowagę systemu i co za tym idzie umacniającego władztwo burżuazji, albo własną decyzją przyczynić się do stworzenia za Renem siły militarnej, bezpośrednio grożącej Francji, dopuścić do zapanowania w Niemczech zachodnich szowinistycznego i odwetowego ducha. Samemu stworzyć dywizje Wehrmachtu, po których powstaniu, jak to zapowiadają cynicznie politycy bońscy, inaczej z Francją będzie można mówić.

Wbrew duchowi francuskiej kultury i odwiecznej linii polityki francuskiej opartej na licznych doświadczeniach historycznych, samych Francuzów zmuszono do tego, by utrwalili podział Europy, przyczynili się do wzmożenia napięcia międzynarodowego, które nieuchronnie musi położyć podwaliny pod faszyzację krajów zachodniej Europy.

Cóż dziwnego, że wobec tak tragicznej alternatywy szereg wielogodzinnych zebrań nie dawał żadnych rezultatów i decyzja została po prostu wyduszona przez wzmagającą się presję zagraniczną.

GORZEJ NIŻ VICHY

Mimo woli nasuwa się przykra analogia z naszej historii. Mimo pozornych przeciwieństw i odległości historycznej i geograficznej tę debatę, w której kilkudziesięciu mówców zabrało głos, chciałoby się zestawić z naszym niesławnie znanym sejmem niemym. Za tamtym milczeniem, jak za obecną francuską retoryką, kryło się podobne przeciwstawienie dobra klasy, dobra kraju i całego narodu. Wówczas szlachta broniąc „swojej złotej wolności" szukała gwarancji u carskiego protektora, który niebawem stał się ciemiężycielem całego kraju jak również tej samej szlachty, która dobrowolnie oddała się w jego ręce.

Teraz burżuazja francuska wyrzeka się samodzielności i roli Francji w świecie także w obawie o „swą złotą wolność" (bardziej dosłownie „złotą" niż ta szlachecka).

Ale po co szukać tych odległych analogii. Redaktor naczelny „France Observateur" w numerze tego pisma z dn. 23.XII ub. r. pisze: *„Jeżeli układy będą ratyfikowane, ci deputowani i senatorzy, którzy głosowali za ratyfikacją, będą mogli być porównani tylko do tych deputowanych i senatorów zgromadzonych w sali kasyna w Vichy 10 lipca 1940 roku, którzy dali pełną władzę Petainowi. Tamci jednak mogli mieć pewne wymówki. Jeśli nienawiść do demokracji czy defetyzm kierowały decyzją niektórych z nich, to większość ogłupiona przygniatającą klęską, łudząca się co do osoby „republikańskiego marszałka" nie zdawała sobie sprawy, że przez swoje wyczerpanie, naiwność i tchórzostwo legalizuje narodziny faszyzmu i poniża państwo francuskie.*

Dziś nie ma tych wymówek... Ci, którzy przyjęli na swoją odpowiedzialność remilitaryzację Niemiec nie mają nic na swoje usprawiedliwienie, chyba to jedynie, że Ameryka tego od nich żądała. Ale przecież nie są oni kongresmanami amerykańskimi ale francuskimi deputowanymi. Stany Zjednoczone nie mają prawa zmuszać Francuza do poświęcania interesu Francji i pokoju.

Być może powiedzą oni: „To było najmniejsze zło. Taka właśnie była obrona ludzi Vichy. Może historia przyniesie pewną rehabilitację tamtych ludzi. Ale nie będzie na pewno rehabilitacji dla tych Francuzów, którzy spokojnie, na zimno, bez koniecznej przyczyny, wbrew okrzykom na alarm, wydadzą naród niemiecki we władzę tych samych dawnych demonów".

Nie są to słowa młodego zapaleńca skorego do inwektyw, ale wytrawnego dziennikarza i polityka niezależnego, który jeszcze parę miesięcy temu wiązał wielkie nadzieje z tak zwanym we Francji „doświadczeniem Mendes-France".

Wielkie nadzieje! Claude Bourdet nie był tu odosobniony. Podzielała je ogromna większość opinii francuskiej. Mendes-France nie zaskarbił sobie tego zaufania tylko doprowadzeniem do końca znienawidzonej i wyczerpującej ostatecznie siły Francji wojny w Wietnamie. Początek jego kadencji ukazał wyraźnie możliwości i perspektywy, jakie stoją przed niezależną, suwerenną polityką Francji. Genewa wykazała to niezbicie i prestiż Francji wzrósł niepomiernie. W ślad za polityką zagraniczną nowy wiatr przez krótki moment powiał w życiu wewnętrznym kraju. Po wieloletnich beznadziejnych rządach chadeków (MRP) i ich sojuszników, po latach całkowitego zastoju we wszystkich dziedzinach życia, po postępującym ciągle naprzód rozkładzie i kompromitacji starych instytucji parlamentarnych mogło wydawać się, że Mendes-France jest jedynym człowiekiem, który może jeszcze na pewien czas ożywić zmurszałą strukturę i tchnąć w nią nowego ducha.

Zawód i upokorzenie Francji w tych ostatnich dniach ubiegłego roku są tym tragiczniejsze, że przychodzą bezpośrednio po okresie nadziei, po zapowiedziach odrodzenia.

Patrząc na te wypadki z odległego historycznego punktu widzenia znajdziemy w nich potwierdzenie nieubłaganych praw rządzących rozwojem społecznym. Dialektyka tego rozwoju stawia w coraz ostrzejszej sprzeczności interes klasy wyzyskującej i dobro narodu. Haniebna ustawa parlamentu francuskiego jest zatem nową przesłanką dla nieubłaganego wyroku. Przesłanką tym donioślejszą, że ukazującą jaskrawo niezdolność burżuazji do służenia swemu krajowi.

JAK MOGŁO DOJŚĆ DO TEJ HANIEBNEJ UCHWAŁY

Rozważania na tej szerokiej płaszczyźnie historycznej mogą być źródłem optymizmu jeśli idzie o dalszą przyszłość. Wobec jednak remilitaryzacji Niemiec zach., która zagraża bezpośrednio nie tylko sąsiadom Niemiec, ale całemu światu, nie wystarczają takie beznamiętne i odległe rozważania historyczne. Trzeba przyjrzeć się bliżej mechanizmowi politycznemu, który sprawił, że zaledwie dziesięć lat po największych zbrodniach w historii ludzkości, odrodzenie tego samego militaryzmu staje się możliwe. I zastanowić się, jakie siły w łonie samej burżuazji są zdolne prowadzić dalej walkę przeciw zagrożeniu cywilizacji.

Przede wszystkim nasuwa się pytanie. Jak w ogóle mogło dojść do tej uchwały Zgromadzenia Narodowego pozostającej w jaskrawej sprzeczności z wolą i dobrem narodu? Przecież jeszcze na parę dni przed tą decyzją to samo Zgromadzenie w pierwszym czytaniu odrzuciło remilitaryzację i dopiero po jedenastu dniach i wielu nocach obrad została ona w końcu powzięta. W przemówieniach wszystkich niemal deputowanych z ugrupowań mieszczańskich rozpacz i rozdzieranie szat mieszały się ze skrajną determinacją. Atmosfera w kraju, która towarzyszyła obradom, podobna była tej na sali obrad, przy czym rosnąca fala oburzenia ogarniała coraz szersze rzesze Francuzów. Charakterystyczną dla tej atmosfery jest mała notatka zamieszczona wstydliwie w „Le Monde" w przeddzień powzięcia uchwały:

„W poniedziałek delegacje żądające przyjęcia w „Palais Bourbon" przybrały niecodzienne rozmiary. Po południu zostały sprowadzone posiłki policji i straży, aby rozproszyć gromadzące się grupy. Poważne siły policji otaczające „Palais Bourbon" pozostały tam przez całą noc".

Oczywiście nie trzeba dowodzić, że te „poważne siły policji" nie miały wpływu na decyzje Zgromadzenia Narodowego. Jeśli cytujemy tę wzmiankę to dlatego, że wykazuje ona jak wzmaga się oddziaływanie francuskiej opinii publicznej na swoich deputowanych i rośnie oburzenie wobec tych, którzy występują przeciw interesom swego narodu. Tłumaczy to fakt, że ci nawet, którzy głosowali za ratyfikacją, nie odważyli się jej bronić w publicznym wystąpieniu.

To, co ostatecznie wobec chwiejności wszystkich deputowanych mieszczańskich zapewniło premierowi minimalną większość, to lęk przed izolacją Francji, brutalna groźba USA i W. Brytanii zerwania atlantyckiego sojuszu w wypadku odrzucenia ratyfikacji, perspektywa pozostania w osamotnieniu pomiędzy faszystowską Hiszpanią a faszyzującymi się Niemcami zachodnimi.

Dla wielu ludzi „lewicujących" argumentem za oddaniem głosu za ratyfikacją była też obawa, że upadek Mendes-France'a pociągnie za sobą dojście do władzy nowej koalicji z chadecją na czele, która jeszcze bardziej bezwstydnie zaprzedana jest amerykańskim „protektorom".

Słabość tych wszystkich argumentów jest uderzająca, tak jak i tych cynicznie kłamliwych, że ratyfikacja rzekomo ma nie utrudniać rokowań wielkiej czwórki, lub że uzbrojenie Niemiec służy pokojowi w Europie. Trudno więc przypuścić, aby rzeczywiście mogły one kogokolwiek przekonać. Były one tylko rodzajem alibi — w rzeczywistości przemówiły niewątpliwie motywy bardziej wymowne — interesy wielkiego kapitału.

Spośród 287 głosów, które padły za ratyfikacją, jedna trzecia przypada na „socjalistów" (SFIO), którzy (z wyjątkiem 18 przeciwnych, wyłamujących się spod dyscypliny partyjnej) wykazali raz jeszcze, że żadna partia nie potrafi ich ubiec w gorliwości wysługiwania się interesom wielkiego kapitału. Przemówienie sekretarza generalnego tej partii było jedyną namiętną filipiką za ratyfikacją i uzbrojeniem Niemiec. Tak więc na socjalistów spada główna odpowiedzialność za tę haniebną uchwałę.

Wszystkie inne partie poza komunistami podzieliły się na zwolenników i przeciwników ratyfikacji. Przy czym charakterystyczne jest, że wielu najbliższych przyjaciół Mendes-France'a spośród radykałów i innych zbliżonych im ugrupowań głosowało przeciwko niemu. I odwrotnie, grupa najzaciętszych jego wrogów z MRP (chadecji) z Bidault i Robertem Schumanem na czele, ostatecznie zapewniła jego sukces w ostatnim dniu debaty wstrzymując się od głosu. Jest we Francji powszechnie wiadome, że — jak to podaje cytowany wyżej „Observateur" — zmiana w stanowisku przywódców MRP nastąpiła nagle na skutek listu kanclerza Adenauera do swoich francuskich „kolegów", w którym dowodzi on, że w razie odrzucenia układów londyńskich i paryskich groziłby upadek rządu chadecji w Niemczech.

Tak więc, o ironio, troska o trwałość rządu bońskiego, a nie dobro Francji, zadecydowała ostatecznie o przechyleniu się wahającej się szali na korzyść ratyfikacji.

Międzynarodówka chadecka, która przez wiele lat ciążyła i ciąży nadal nad polityką zagraniczną krajów europejskich, nawet teraz po odsunięciu MRP od władzy potrafiła ingerować w wewnętrzne sprawy Francji przeciwstawiając się pokojowi i pojednaniu między narodami.

PERSPEKTYWY DALSZEJ WALKI

Wyznaczają je wnioski z ostatniej debaty. Przede wszystkim uderzająca jest nikła wartość decyzji powziętej 27 głosami większości przy 74 powstrzymujących się od głosu. Sam Mendes-France w przemówieniu otwierającym debatę, wzywając deputowanych do głosowania za ratyfikacją, stwierdził, że w sprawie tak

(Dokończenie na str. 2).

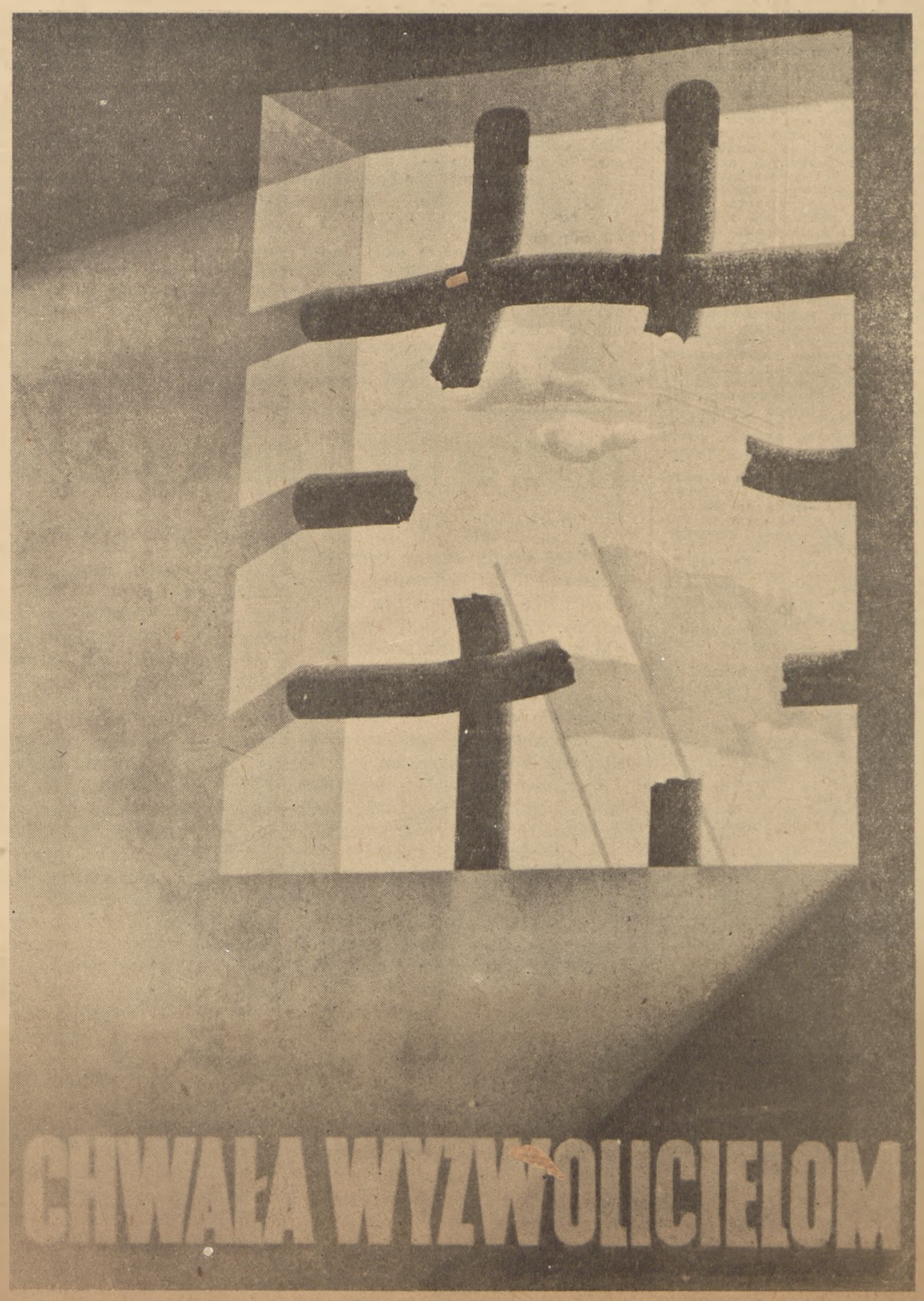

mal. Tadeusz Trepkowski

Przed 10 laty oddziały Armii Czerwonej i Wojska Polskiego wróciły Warszawie wolność

HENRYK KMITA

Z OBRAD DONIOSŁEGO ZJAZDU

W dniach 15 — 26 grudnia ub. roku obradował w Moskwie II Wszechzwiązkowy Zjazd Pisarzy Radzieckich.

Jeśli się weźmie pod uwagę, że I Zjazd odbył się w 1934 roku, a więc dwadzieścia lat temu, to prosty stąd wniosek, iż ostatnie obrady stały przede wszystkim pod znakiem podsumowania minionego dwudziestolecia, pod znakiem bilansu osiągnięć i błędów w dotychczasowym dorobku literatury radzieckiej. To jedno. A drugie? Drugą sprawą było wyznaczenie dalszych dróg rozwojowych tej literatury — na podstawie dotychczasowych doświadczeń.

Te dwa główne aspekty — bilansu i perspektyw — zaznaczyły się chyba najdobitniej w podstawowym referacie Zjazdu — o stanie i zadaniach literatury radzieckiej — wygłoszonym przez A. Surkowa. Operując danymi statystycznymi, datami, tytułami i nazwiskami, referent roztoczył przed słuchaczami imponujący obraz rozwoju i rozkwitu literatury radzieckiej, literatury wszystkich republik związkowych, nie spotykany dotąd w dziejach rozmach życia kulturalnego u tych narodów, które — wedle słów mówcy — po Rewolucji Październikowej po raz pierwszy otrzymały własny alfabet i pismo.

Analizując poszczególne etapy rozwoju literatury radzieckiej, Surkow zatrzymuje się na okresie wojny, stwierdzając z dumą, że w tym tak trudnym dla całego narodu czasie głos jej nie tylko nie umilkł ani na chwilę, ale rozbrzmiewał najszlachetniejszymi tonami beethovenowskiej „Eroiki" — ucząc wielkiej miłości do zagrożonej ojczyzny, budząc śmiertelną nienawiść do najeźdźców. „Pisarze radzieccy pozostali ze swoim narodem i w dni próby, i w dni zwycięstwa" — powiedział Surkow, a uwagi swe na temat literatury z okresu wojny zakończył takim oto znamiennym zdaniem: „Gdyby krytycy i badacze głębiej wniknęli w utwory powstałe w czasie wojny, mogliby z nich zaczerpnąć tysiące dobitnych i sugestywnych dowodów prawdziwej ludowości i humanizmu".

Z dalszych wywodów mówcy słuchacze dowiedzieli się, że w okresie powojennym niektórzy nawet czołowi pisarze radzieccy jakby obniżyli swój lot, zaczęły powstawać rzeczy mierne, a nieraz zupełnie chybione. Jakie są przyczyny tego stanu rzeczy? Jak należy walczyć z tym zjawiskiem? Przede wszystkim — pomijając już nawet błędy samych pisarzy — winę ponosi tu niewłaściwa krytyka literacka, która albo nieudane dzieło i jego twórcę potępia w czambuł, albo wynosi pod niebiosa autora rzeczy słabej artystycznie, ale odpowiednio politycznie ustawionej. Są to krańcowości, które bezwzględnie demobilizują pisarzy i którym należy wypowiedzieć zdecydowaną walkę.

Tak więc Surkow rzuca konkretny, jasny postulat pod adresem zebranych na sali krytyków:

„Musimy ostro i otwarcie krytykować słabości naszej literatury, przy czym punktem wyjścia powinna być nie niewiara w jej możliwości, lecz świadomość, że literatura nasza dysponuje tyloma utalentowanymi twórcami i osiągnęła taki poziom dojrzałości i doświadczenia twórczego, że podoła o wiele trudniejszym zadaniom niż te, które dotąd rozwiązywała i rozwiązuje".

Trudno nie przytoczyć tu innych jeszcze słów mówcy:

„Nasze audytorium czytelnicze podwoiło się bodaj dzięki dziesiątkom milionów czytelników w krajach demokracji ludowej i milionom czytelników w krajach kapitalistycznych. To ogromne nowe audytorium wysuwa wobec literatury radzieckiej postulaty, w które my, pisarze radzieccy, musimy się bacznie wsłuchiwać..."

W toku dyskusji zjazdowej jeszcze raz tę dominantę obrad — zagadnienie podwójnej odpowiedzialności pisarza radzieckiego: wobec własnego społeczeństwa i oraz wobec narodów krajów budujących u siebie socjalizm i wszystkich postępowych ludzi na świecie — podchwycił delegat polski, Leon Kruczkowski:

„Chciałbym, Drodzy Przyjaciele, z naciskiem podkreślić, że ta odpowiedzialność Wasza jest znacznie szersza, niż to — być może — w codziennej swej pracy widzicie. Sięga ona daleko poza granice Waszej rozległej ojczyzny. Na setki, a nawet na tysiące liczą się pisarze wielu krajów — wśród nich również pisarze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — którzy ukochali wspaniałe prawdy i porywające obrazy, jakie po raz pierwszy ukazała światu Wasza, radziecka literatura".

„Poczucie takiej właśnie, daleko poza granice Waszego kraju sięgającej odpowiedzialności Waszej, Drodzy Przyjaciele, będzie na pewno bardzo żywe w atmosferze tego Zjazdu...."

Że to poczucie istotnie było żywe w atmosferze Zjazdu, świadczył o tym m. in. fakt niezwykle gorącego przyjęcia przez pisarzy radzieckich przemówień poszczególnych pisarzy zagranicznych — Anny Seghers, Jorge Amado, Jack Lindsay'a, Pablo Nerudy, delegatów Austrii, Finlandii, Iranu, Syrii i wielu innych krajów...

Natomiast przejawem owej łączności pisarzy radzieckich z — jak mówił Surkow — „ogromnym nowym audytorium", złożonym z milionów czytelników na całym świecie, była przyjęta przez zebranych z wielkim zainteresowaniem — podana właśnie przez Surkowa — wiadomość o mających się ukazać nowych czasopismach, m. in. „Przyjaźń Narodów" i „Literatura Międzynarodowa". Same tytuły określają ich charakter.

Jeśli chodzi o podkreślenie akcentów politycznych w obradach II Zjazdu Pisarzy Radzieckich, to oczywiście nie można poprzestać na jakimś kronikarskim, lakonicznym stwierdzeniu takich faktów, jak obecność na otwarciu Zjazdu przywódców KPZR i Rządu radzieckiego, czy nawet odczytanie przez sekretarza Partii Pospiełowa pisma Komitetu Centralnego z pozdrowieniami dla Zjazdu i wskazaniami ideowo - politycznymi dla radzieckich pisarzy.

Zważywszy bowiem, że każdy pisarz radziecki jest bojownikiem o postęp i pokój, że podstawowym jego założeniem twórczym jest walka o najszczytniejsze ideały ludzkości, a różnice między poszczególnymi autorami przebiegają jedynie na płaszczyźnie ich możliwości twórczych, ich talentu, ulepszenia i podnoszenia gatunków literackich przez nich uprawianych — to staje się rzeczą jasną, że owe akcenty polityczne łączyły się ściśle z całokształtem obrad, z każdym przemówieniem, z każdym głosem w dyskusji.

I tak się jakoś dziwnie złożyło — no, zwykły zbieg okoliczności — że obrady II Zjazdu zeszły się w czasie z zupełnie innymi obradami — francuskiego Zgromadzenia Narodowego... Oczywiście przypadek... Ale w żadnym razie nie były przypadkowe piękne, mocne słowa Ilji Erenburga, dedykowane twórcom i protektorom układów paryskich:

„Wrogowie humanizmu, wrogowie postępu, wrogowie narodów próbują zatrzymać bieg czasu. Grożą oni zatopieniem we krwi przyszłości. Ze wszystkich sił będziemy bronić pokoju, ale jeśli szaleńcy odważą się dokonać zamachu na nadzieje całej ludzkości, spotkają naród, który ma nie tylko silną armię i przodujący przemysł. Spotkają naród, który ma wielką literaturę".

Wracając do samej dyskusji zjazdowej, która, poza referatami zasadniczymi, stanowiła właściwe jądro Zjazdu' — jaki miała charakter, co ją szczególnie cechowało? Na to pytanie, po przestudiowaniu choćby części przebogatego materiału z dyskusji, można by odpowiedzieć najkrócej: dyskusję cechowała żarliwość polemiki. Śmiałe i twórcze ujawnianie wszystkich niedociągnięć w dziedzinie krytyki, prozy, poezji, w dziedzinie twórczości młodzieżowej, dramaturgii czy tłumaczeń. No, dobrze — powie czytelnik — ale jak to wyglądało w praktyce? Żeby nie być gołosłownym, trzeba sięgnąć do materiałów...

Kiedy na trybunę wstępuje znany chyba na całym świecie twórca „Cichego Donu" M. Szołochow i mówi: „Nie może być u nas dzieł, ani autorów nietykalnych" — dostaje niezwykłe brawa.

Simonow występując ostro i zdecydowanie przeciw wszelkim przejawom lakiernictwa i bezkonfliktowości (zwłaszcza w literaturze o tematyce wiejskiej) stwierdza z naciskiem:

„Szczytowym osiągnięciom radzieckiej powieści obce jest patrzenie na świat przez różowe okulary. Ustrój nasz zainteresowany jest w tym, aby życie ukazywać ostro, w jego jaskrawych sprzecznościach, w rewolucyjnym rozwoju".

Wielką burzą oklasków przywitano słowa I. Erenburga, który powiedział m. in.:

„Zwą nas „inżynierami dusz ludzkich". A oto przeczytasz nowelę czy powieść, wszystko w niej na miejscu — i szczegóły maszyn, i narady wytwórcze — jakby inżynier napisał, tylko gdzie się podziała dusza ludzka?".

II Zjazd można przyrównać do wielkiej, twórczej narady produkcyjnej, w której należne miejsce zajmuje podsumowanie wieloletnich osiągnięć, jak i ujawnienie dostrzeżonych braków. Osiągnięcia są motorem do dalszej pracy, wykazane błędy mają przestrzegać przed ponownym ich popełnianiem.

Czytelnik radziecki, czytelnik polski, węgierski, chiński, miliony postępowych ludzi na całym świecie, brały i będą brać do ręki książki pisarzy radzieckich... Czy właśnie od dnia zakończenia II Zjazdu Pisarzy — jak grzyby po deszczu zaczną się nagle pojawiać w ZSRR książki pozbawione niedociągnięć, o wysokiej wartości, zarówno ideowej, jak i artystycznej? Takie książki powstawały i w minionym dwudziestoleciu. Chodzi o to, że w czasie Zjazdu większa niż dotychczas liczba pisarzy uświadomiła sobie ową podwójną odpowiedzialność wobec ogromnego audytorium.

„Pisarze radzieccy — czytamy m. in. w rezolucji — powołani są do tego, aby pokazać w całej okazałości bohaterskie czyny i wielkie zalety moralne swego narodu". Bogaty trzydziestosiedmioletni dorobek literatury radzieckiej nie tylko pozwala, lecz i nakazuje przypuszczać, że w miarę upływu dalszych lat powstaną dzieła, o których z dumą będą mówić uczestnicy III Zjazdu Pisarzy Radzieckich. (Np. nie szukając daleko wymieńmy znakomitą książkę L. Leonowa „Rosyjski las", która ukazała się na półkach księgarskich ZSRR jeszcze w roku dyskusji przedzjazdowej.

Wreszcie na zakończenie zajrzyjmy jeszcze do rezolucji, aby wskazać na jeden z jej punktów, który z pewnością zainteresuje szerokie rzesze czytelników:

„Zjazd wita i popiera wysuniętą przez pisarzy różnych krajów propozycję, aby w 1955 roku odbył się Światowy Kongres Pisarzy, w którym uczestniczyliby na zasadzie jak najszerszej reprezentacji, przedstawiciele literatury wszystkich krajów, zjednoczeni na platformie pokoju i kultury".

Nowy numer „KWARTALNIKA HISTORYCZNEGO"

Wydany ostatnio nowy numer Kwartalnika Historycznego *) zawiera jak zwykle liczne rozprawy dotyczące różnych aspektów historii politycznej, społecznej i gospodarczej, szereg recenzji oraz stale rozbudowywany i bardzo ciekawy dział życia naukowego w kraju i za granicą. Zasługuje na specjalną uwagę dyskusja prowadzona nad opracowywanym obecnie dwutomowym uniwersyteckim podręcznikiem Historii Polski.

Prace nad tym podręcznikiem postawione zostały na pierwszym miejscu w planie działalności naukowej Instytutu Historii i objęły liczne grono naszych najlepszych specjalistów. Prospekt obu tomów został już ogłoszony w poprzednich numerach Kwartalnika, a obecnie omawiane są na specjalnych konferencjach naukowych gotowe już maszynopisy poszczególnych części tomu pierwszego obejmującego epokę feudalną (do połowy XIX wieku).

Jak zawsze niezmiernie żarliwie dyskutowane są nie tyle założenia ogólne, ile szczegóły periodyzacji. Poważne wątpliwości podnoszono również co do oceny wartości i znaczenia dotychczasowej historiografii. Zaznaczyła się wyraźnie tendencja, aby dzieła te oceniać pod kątem interesów społecznych, które dyktowały takie, a nie inne w danym czasie ujmowanie zagadnień, z należytym jednocześnie uwzględnianiem ich realnych osiągnięć erudycyjnych i faktologicznych. Broniono gorąco Długosza, który w ówczesnych warunkach dał dzieło przodujące wśród współczesnych opracowań historycznych w Europie.

Największą zaletą szkicu podręcznika jest zupełnie nowe i metodologicznie słuszne ujmowanie naszych dziejów pod kątem uwzględniania ich podłoża społecznego i gospodarczego. Przestrzegano jednak przed skrajnością zbytniego streszczania historii politycznej. Młodzież studiująca powinna znaleźć w podręczniku wystarczającą ilość faktów, gdyż inaczej będzie ich szukać w starych opracowaniach, niejednokrotnie błędnie przedstawiających rozwój wypadków.

Ze spraw szczegółowych nadal toczą się spory dotyczące zagadnienia przebywania Gotów na ziemiach polskich, względnie sprawy ich przejścia przez nie, gdzieś na początku naszej ery, w dążeniu do terenów nadbrzeżnych Morza Czarnego. Dyskutowano również nad charakterem akcji zewnętrznej Bolesława Chrobrego, nad pozytywnym czy negatywnym znaczeniem tzw. reakcji pogańskiej, czyli ściślej powstania ludowego po śmierci Mieszka II, nad istotnym sensem polityki zagranicznej Kazimierza Wielkiego. Krytykowano nadmierne wyolbrzymianie wpływu husyckiego w Polsce, niedostateczne pogłębienie problemu unii polsko-litewskiej oraz zbyt wąskie potraktowanie rokoszu Zebrzydowskiego, w którym poza intrygami możnowładców wystąpiły jednocześnie antymagnackie nastawienia szlachty oraz przejawiała się coraz wyraźniej świadomość narodowa, skierowana przeciwko sprzecznej z interesami kraju polityce Zygmunta III.

Padło dużo słusznych uwag w sprawie pogłębionego potraktowania poszczególnych problemów społecznych i gospodarczych. Zwrócono też uwagę na niedostateczne powiązanie dziejów Śląska i Pomorza z całością historii naszego kraju.

Dzieło zbiorowej pracy naszych historyków nad uniwersyteckim podręcznikiem Historii Polski jest już na drodze do pomyślnej realizacji. Z niecierpliwością czekamy ukazania się przy końcu tego roku przynajmniej tomu pierwszego.

S. Z.

*) „Kwartalnik Historyczny", Rocznik 61, Nr 3. Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk. Warszawa 1954, str. 476.

STANISŁAW WAJDA

JAK WYZWOLONO WARSZAWĘ

DZIESIĘĆ lat temu, 12 stycznia 1945 r., wojska I Frontu Ukraińskiego po niszczycielskim przygotowaniu artyleryjskim, przystąpiły do druzgocącego uderzenia w rejonie Sandomierza. W dniu 14 stycznia ruszyły do natarcia pozostałe fronty, I Front Białoruski zaatakował niemieckie pozycje z dwóch przyczółków na południe od Warszawy, w okolicach Magnuszewa, Warki i Puław. II Front Białoruski uderzył z przyczółków dolnej Narwi, a III Front Białoruski znad dolnego Niemna i od strony jezior mazurskich. Tak rozpoczęła się gigantyczna ofensywa zimowa wojsk radzieckich i polskich w styczniu 1945 r., ofensywa, która przyniosła wolność Warszawie i całej Polsce.

W niemieckim systemie obronnym północnego odcinka frontu wschodniego, obszar Warszawy położony w bezpośredniej linii ogniowej, stanowił w założeniu strategicznym „Oberkommando der Wehrmacht" bardzo poważne znaczenie. Warszawa, objęta umocnionym pasem dochodzącym do 20 km szerokości, była jednym z kluczowych stanowisk obronnych całego frontu wschodniego. W rejonie warszawskim skoncentrowane zostały jednostki 9 armii hitlerowskiej gen. von Luttwitz, obejmujące 39 korpus pancerny, 73 dywizję piechoty SS, 337 dywizję grenadierów, brygadę „własowców" Kamińskiego, formacje artylerii ciężkiej i moździerzy oraz liczne bataliony ciężkich karabinów maszynowych w ogólnej sile do 3 dywizji, nie wymieniając szeregu mniejszych jednostek i oddziałów specjalnych rozlokowanych na przednim skraju obrony, wzdłuż silnie zaminowanego brzegu Wisły.

W okolicach Warszawy, po przeciwległym brzegu Wisły, na przeszło 40-kilometrowym odcinku Jabłonna — Karczew, w pierwszej połowie stycznia 1945 r., skoncentrowana była I Armia Wojska Polskiego pod dowództwem gen. dyw. Popławskiego, wchodząc w skład I Frontu Białoruskiego marszałka Żukowa. Jej stan bojowy wynosił: 6 dywizji, 9 brygad i 3 pułki: 5 dywizji piechoty, dywizję przeciwlotniczą, 4 brygady artylerii, 2 brygady saperów, brygadę pancerną, brygadę przeciwpancerną, brygadę kawalerii, pułk czołgów ciężkich, pułk artylerii samochodowej i pułk moździerzy.

W pierwszej linii frontu stały 2 dywizje piechoty i brygada kawalerii. Jednostki pierwszego rzutu posiadały wsparcie ogniowe wszystkich 4 brygad artylerii i pułku moździerzy. Poza tym posiadały swoją artylerię dywizyjną i pułkową. Reszta jednostek, rozlokowanych w rejonie Rembertów — Zielonka, tworzyła odwód dowództwa armii. Kwatera gen. Popławskiego i sztab armii znajdował się w Zielonce. Dywizja artylerii przeciwlotniczej chroniła teren całej armii przed nalotami niemieckiego lotnictwa, które dawało często znać o swoim istnieniu. Prawe skrzydło I Armii opierało się na północy o jednostki 47 Armii Radzieckiej, a lewe na południu o 61 Armię, która trzymała też niezmiernie ważny przyczółek nad Warką. W przeddzień natarcia na Warszawę I Armia uległa przegrupowaniu. Wzmocniona została pierwsza linia frontu, przesuwając punkt ciężkości na lewe skrzydło, skąd miało wyjść zasadnicze uderzenie.

Plan działania przedstawiał się w ogólnych zarysach następująco: oddziały I Frontu Białoruskiego w składzie 47 i 61 Armii Radzieckiej i I Armii Wojska Polskiego wykonać miały podwójne dwuskrzydłowe okrążenie Warszawy. Zasadnicze oskrzydlenie zewnętrzne, przełamujące niemieckie pozycje obronne na znacznej głębokości, wykonać miały obydwie armie radzieckie (61 Armia od południa, a 47 Armia od północy), spotykając się w okolicach Błonia, dwadzieścia kilka kilometrów na zachód od Warszawy. Wyzwolenie samej Stolicy przypadło w udziale I Armii WP, która miała wykonać późniejsze oskrzydlenie wewnętrzne, odcinając warszawskie zgrupowanie nieprzyjacielskie i przystępując do zdobywania miasta.

Uderzenie zasadnicze miało wyjść od południa, a pomocnicze od północy. Główne siły I Armii skoncentrowane na lewym skrzydle, obejmujące 1, 3 i 4 Dywizję Piechoty, 3 Brygadę Artylerii i 1 Brygadę Pancerną, po przełamaniu obrony niemieckiej przez 61 Armię atakującą z przyczółka Warki i osiągnięciu linii Piaseczno — Tarczyn, miały sforsować Wisłę w rejonie Góry Kalwarii i po zajęciu podstawy wyjściowej do natarcia uderzyć na północ w kierunku Jeziorna Królewskiego — Piaseczno, otaczając Warszawę od zachodu i południa.

Tymczasem 2 Dywizja Piechoty wzmocniona brygadą artylerii, po przeprowadzeniu skutecznego natarcia na nieprzyjacielskie pozycje przez 47 Armię atakującą z rejonu Zegrze, przekroczyć miała Wisłę na prawym skrzydle I Armii, w okolicach Jabłonny, uderzając na Warszawę od północy. Pułki 6 Dywizji Piechoty, 1 Brygada Kawalerii i inne oddziały broniące zachodniego brzegu Wisły na południe od Pragi, opanować miały Wisłę i współdziałać z głównym lewoskrzydłowym uderzeniem I Armii. Operacja warszawska przeprowadzona została zgodnie z planem. Obliczono ją na cztery doby, a wykonana została w ciągu dwóch. Świadczy to o umiejętności operacyjnej polskiego dowództwa i bojowości naszego żołnierza.

14 stycznia, po przygotowaniu artyleryjskim, ruszyło uderzenie obydwóch armii radzieckich, przełamujących niebawem niemiecką obronę. 16 stycznia w godzinach rannych, pomimo zaciętego oporu nieprzyjaciela, 2 Dywizja Piechoty forsuje Wisłę pod Jabłonną, osiągając o zmierzchu rejon Dąbrowa — Buraków. Tegoż dnia po południu przeprawia się przez rzekę zgrupowanie południowe i zajmuje podstawę wyjściową do natarcia na północ. 17 stycznia o świcie przekraczają Wisłę w kilku miejscach jednocześnie poszczególne pułki 6 Dywizji Piechoty, które dotąd pozorowały frontalne uderzenie na Warszawę.

1, 3 i 4 Dywizja Piechoty, 1 Brygada Pancerna i dywizjon przeciwpancerny nacierają na Warszawę od południa, posuwając się wzdłuż szosy Góra Kalwaria — Piaseczno — Warszawa. Brygada pancerna dociera szybko do Włoch i Rakowa, skąd przez Ochotę i Okęcie, 17 stycznia o godz. 11 — wdziera się do Stolicy. Niebawem wkraczają do miasta pułki 1 Dywizji Piechoty. 2 Dywizja wtargnęła do Warszawy od północy, a od wschodu weszły oddziały 6 Dywizji i brygady kawalerii. Niemcy stawili zacięty opór i oczyszczanie miasta trwało jeszcze dwa dni. Nie przeszkadzało to jednak, że 17 stycznia 1945 r., w godzinach popołudniowych, popłynęła w świat historyczna wiadomość: WARSZAWA WOLNA!

PERSPEKTYWY DALSZEJ WALKI

(Dokończenie ze str. 1)

wielkiej wagi jedynie decyzja powzięta dużą większością głosów może mieć wiążące znaczenie. Przebieg debaty wykazał niezbicie całemu światu, że Francja nie chce remilitaryzacji. Ta oczywista prawda nie może nie pozostać bez wpływu na dążenia do wprowadzenia w życie układów paryskich i londyńskich nawet w tym wypadku, gdyby francuska Rada Republiki i parlamenty innych krajów zachodnio-europejskich wypowiedziały się przychylnie. Niechęć Francji ma szczególne znaczenie dla postawy samych Niemiec zachodnich, a zwłaszcza dla tamtejszej socjaldemokracji. Nie przestaje ona w ostatnim czasie zyskiwać wpływu kosztem chadecji i można przewidywać, że jej postawa przeciwna remilitaryzacji dozna po ostatnich wypadkach we Francji wzmocnienia.

Ten wpływ dotyczy zresztą nie tylko Niemiec. Amerykańska brutalna presja i metoda wymuszenia ukazuje całemu światu prawdziwe oblicze tej polityki. W istocie z tego rodzaju dyplomatycznych sukcesów USA cieszą się jedynie byli esesmani i ich przyjaciele. Ten stan rzeczy powinien wreszcie otworzyć oczy i polskim emigracyjnym i coraz bardziej nielicznym krajowym czcicielom „Głosu Ameryki" i przekonać ich ostatecznie o zdecydowanie antypolskim kierunku polityki rządu USA.

Co się tyczy samej Francji, to łatwo przewidzieć, że ostatnia debata przyniosła ogromny upadek autorytetu Mendes-France'a. Być może jego gabinet będzie wegetował jeszcze dość długo kosztem zamarcia w bezruchu i niestawiania kwestii drażliwych mogących pociągnąć za sobą konieczność postawienia w Zgromadzeniu Narodowym kwestii zaufania. Ale może to być tylko wegetacja. Charakterystyczną dla upadku jego autorytetu jest podana przez prasę francuską krzywa przedstawiająca ilość głosów uzyskiwanych w parlamencie w ciągu ostatniego półrocza ubiegłego roku. Inwestyturę uzyskał on przy 47 głosach przeciwnych. Głosy te stale wzrastały i dziś równają się prawie głosom „za". Zraził swoich przyjaciół i sojuszników, nie zyskał naprawdę nikogo. Oto bilans jego półrocznych rządów.

Ciekawszy natomiast proces rozpoczyna się w łonie skomplikowanego życia partyjno-politycznego Francji. Debata, o której mowa wykazała, że obecne podziały partyjne są nie tylko fikcją ale wręcz mistyfikacją. W obliczu bowiem kwestii zasadniczej wagi wszystkie partie, z wyjątkiem FPK uległy podziałowi na zwolenników i przeciwników ratyfikacji. Wolno tedy przypuszczać, że dramatyczna debata zapoczątkuje nowe przegrupowanie w partyjnym układzie parlamentarnym. Można też mieć nadzieję, że z tego przegrupowania wyłoni się nowa lewica, która pozostając na prawo od partii komunistycznej byłaby zdolna do współpracy z nią, która byłaby zdolna wspólnie z masami pracującymi podjąć walkę o ratowanie cywilizacji europejskiej i samodzielności Francji.

Paul Valéry powiedział kiedyś, że polityka jest sztuką przeszkadzania ludziom w zajmowaniu się tym co ich najbardziej dotyczy. Istotnie, trudno o trafniejszą definicję tej polityki burżuazyjnej, która staje się wyłączną domeną macherów parlamentarnych. Ta sztuka wydoskonaliła się szczególnie w wielopartyjnym francuskim układzie politycznym. Leaderzy partyjni ze szczególną troskliwością strzegli „monopolu" partii na zajmowanie się polityką. Doszło do tego, że gdy Mendes-France zaraz po otrzymaniu inwestytury postanowił co tydzień przemawiać przez radio do całego społeczeństwa francuskiego, by rzekomo informować go o krokach i zamierzeniach rządu, przywódcy partii burżuazyjnych podnieśli krzyk oburzenia i uznali ten obyczaj za niedemokratyczny (sic!), jako że znosi ów łańcuch pośrednictwa, chciałoby się powiedzieć paskarstwa politycznego, z którego żyją zawodowi politycy i nadmiernie mnożące się partie.

Oburzenie okazało się przedwczesne, bo premier potraktował swój krok jako czysty chwyt propagandowy. Dowodzi ono jednak niebywałego pomieszania pojęć, dowodzi, że słowo demokracja straciło całkowicie swą istotną treść.

Trzeba jednak przyznać, że udało się francuskim politykierom zniechęcić ludzi do „zajmowania się tym, co ich dotyczy". To właśnie zniechęcenie i zmęczenie znacznego odłamu społeczeństwa tłumaczy wiele sukcesów burżuazji. Przebieg ostatniej debaty był wielkim wstrząsem dla całego społeczeństwa francuskiego. Otworzył oczy nawet tym, którzy dotychczas byli obojętni wobec walki klasy robotniczej o niezależność Francji i pokój na świecie. Ukazał on, że naród pragnący żyć, posiadający instynkt samozachowawczy nie może poddać się zobojętnieniu i powierzyć swych losów w ręce mieszczańskich giełdziarzy politycznych. Wola narodu francuskiego w szczególności jego mas pracujących jest i była jednoznaczna — przeciwko remilitaryzacji, za pokojem. Ostatnie wypadki jeszcze bardziej zmobilizują tę wolę i zmaterializują ją w postaci skuteczniejszej i zaciekłej walki. Na tle tego odrodzeńczego nurtu w życiu Francji rysuje się doniosła rola tego licznego odłamu burżuazji, który pozostał razem z narodem, który, jak to w ostatniej debacie wyraził sędziwy honorowy przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Edouard Herriot, nie zgodził się swego sumienia złożyć w ofierze Amerykanom.

Przedmiot tej walki i jej wynik jest sprawą równie żywotną dla Polski jak dla Francji. Dlatego muszą zacieśnić się związki solidarności i braterstwa we wspólnym wysiłku udaremnienia niebezpieczeństwa grożącego nie tylko naszym dwóm krajom ale całemu światu.

Andrzej Krasiński

ANDRZEJ MICEWSKI

LIST DO MOICH PRZYJACIÓŁ Z „PRAWICY"

MAM pewną ilość przyjaciół, których poglądy klasyfikuję jako „prawicowe". Do nich to postanowiłem napisać list, który równie dobrze mógłbym zaadresować do wielu nieznanych mi ludzi, podpadających pod podobną ocenę społeczną. Zacznę od wstępnych wyjaśnień. Przede wszystkim dlaczego piszę do „przyjaciół" i co znaczy „z prawicy". Ale jeszcze przedtem chcę powiedzieć dlaczego w ogóle piszę na te tematy. Dlatego mianowicie, że w naszej publicystyce przyjął się zwyczaj pisania o zagadnieniach ideowo-politycznych w pewien specyficzny sposób. Polega on na tym, że pisze się tylko do ludzi już przekonanych. Tak, jakby innych nie było.

Wynika to z tego, że w Polsce rozbity został obóz konserwatywny, jeśli chodzi o jego ugrupowanie polityczne, oraz że po dokonaniu reform społecznych i kilkuletnim budowaniu podstaw socjalizmu znacznie zmniejszyło się zróżnicowanie klasowe społeczeństwa. W życiu publicznym, a więc i w publicystyce dominuje pozytywna problematyka walki o ustrój socjalistyczny, a nie zagadnienia związane z przekonywaniem o słuszności samej zasady socjalizmu, ponieważ tego rodzaju dyskusje mamy już za sobą. Oczywiście taki charakter i kierunek publicystyki jest zasadniczo słuszny i odpowiada potrzebom obecnego etapu rozwojowego rzeczywistości polskiej, naszej drogi do socjalizmu. Pod warunkiem jednak, że zostawimy pewien margines na dyskutowanie rzeczy zasadniczych, na powracanie do nie przekonanych, których zawsze pewna ilość zostaje po drodze.

Dlaczego piszę do przyjaciół? A no, dlatego, że ludzie nie, lub nie całkiem przekonani, ludzie, którzy opóźniają się na naszej drodze dzielą się na dwie zasadnicze grupy. Na ludzi dobrej woli, których nazywam przyjaciółmi z „prawicy" i na wrogów. Niedawno dyskutowałem zajadle z pewnym przeciwnikiem ustroju. Żadna argumentacja nie trafiała mu do przekonania. Potem dowiedziałem się, że w czasie okupacji miał on pięć sklepów, a obecnie pracuje w jednym i to nie własnym — spółdzielczym. Otóż będąc daleko od jakiegokolwiek determinizmu, nie trudno zgadnąć, że człowiek ten jest wrogi ustrojowi z pobudek nie najszlachetniejszych, które może mógłby przezwyciężyć, ale na to musiałby czynić użytek z własnego rozumu. Otóż tego typu ludzi wrogich ustrojowi nie można nazywać przyjaciółmi z prawicy. Wrogość ludzi odsuniętych od wyzyskiwania społeczeństwa wywodzi się po prostu z faktu, że zostali oni od wyzyskiwania odsunięci. O wrogości tej trzeba pamiętać i liczyć się z nią, ale ci ludzie nie stanowią problemu dla naszej drogi naprzód. Natomiast przyjaciele z prawicy to ludzie, którzy mają wątpliwości w stosunku do naszej drogi, ale wątpliwości łączące się z postawą dobrej woli. Moi przyjaciele „z prawicy" to ludzie, których wątpliwości wobec ustroju socjalistycznego mają swe źródło w trosce o humanizm, kulturę, czy wolność, słowem wątpliwości ich mają charakter intelektualny.

Zanim, moi przyjaciele z prawicy, przejdę do omówienia kilku Waszych kluczowych wątpliwości, wyjaśnię jeszcze dlaczego jesteście... „z prawicy". Prawica i lewica w znaczeniu politycznym jest zmienna. Podział na prawicę i lewicę zależy od punktu ciężkości, który odnajdziemy w każdorazowej sytuacji, w konkretnym układzie sił społecznych i politycznych na świecie. W dzisiejszym układzie sił światowych lewica społeczna rysuje się bardzo wyraźnie. Można o niej mówić tylko w odniesieniu do partii robotniczych i komunistycznych oraz środowisk uznających kierowniczą rolę tych partii w walce o socjalizm. W ciągu ostatnich trzydziestu lat mieliśmy możność obserwowania tak wiele chrześcijańsko - demokratycznych, czy socjaldemokratycznych rządów, które nie przeprowadziły żadnych reform społecznych, nie zrywały z kolonializmem, nie przynosiły gospodarczego wyzwolenia człowieka, nie zlikwidowały bezrobocia, itd., że dzisiaj z całą pewnością można twierdzić, iż ani chadecja, ani socjaldemokracja nie ma nic wspólnego z lewicą społeczną.

Trzeba bowiem zrozumieć pewną prawdę, która polega na tym, że lewica i postępowość polega nie na „pobożnych życzeniach", w złym, gnuśnym tego słowa znaczeniu, ale na konkretnej walce społecznej. Dlatego tak chadecy, tak socjaldemokraci, jak i Wy, moi przyjaciele, którzy nie uczestniczycie swoją świadomą aktywnością w obozie rewolucji, chcąc, czy nie chąc jesteście ludźmi z prawicy. Prawica i lewica polityczna są pewnymi kategoriami obiektywnymi. Zakwalifikowanie człowieka tu lub tam zależy właśnie od obiektywnej wymowy społecznej jego postawy, a nie od nieujawnianych, nawet bardzo śmiałych poglądów. No i jeszcze jedno, z tym musimy się wszyscy zgodzić, że dzisiaj na świecie są tylko dwie drogi społeczno - polityczne, że nie krocząc jedną, kroczy się obiektywnie drugą. Nie tylko nie ma trzeciej siły, ale w istocie, jeśli chodzi o funkcję społeczną, nie ma także neutralności. Można być tylko za lub przeciw i wówczas stawiać sobie zadania w tym albo w tamtym ustroju, zadania płynące z wyznawanej filozofii, światopoglądu, poglądów na kulturę, człowieka itd.

CO ZMUSZA DO WYBORU?

Jeśli chodzi o Was, to postanowiłem tutaj dyskutować nie z Waszymi uwarunkowaniami społecznymi (to pozostawiam Waszemu umysłowi), czy nawykami myślowymi, będę natomiast dyskutował z kilkoma Waszymi ostatnimi argumentami, które budzą zastanowienie.

Jeśli chodzi o stronę intelektualną, to Wy, moi przyjaciele z prawicy, ogólnie mówiąc wyznajecie pogląd dualizmu filozoficznego. Otóż powiedziałem, że chcę polemizować z Waszymi o s t a t n i o zastanawiającymi argumentami. A to dlatego, że pewna problematyka została już przedyskutowana w kręgu ludzi wyznających światopogląd dualistyczny, chrześcijański. Myślę tu o zasadniczej dyskusji ideologicznej na takie tematy, jak np. czy własność prywatna wynika z prawa natury i personalizmu? Czy solidaryzm i korporacjonizm odpowiadają rzeczywistym warunkom i potrzebom społecznym na świecie? Czy walka klas jest do przyjęcia? Czy rewolucja godzi się z postawą katolicką? itd., itd. Przemyślenia w tych wszystkich dziedzinach ze stanowiska chrześcijańskiego trzeba oczywiście pogłębić drogą twórczości ludzi naszego światopoglądu, ale dyskusja na te tematy została zasadniczo w Polsce zakończona. I to zakończona zwycięsko przez ruch społecznie postępowy katolików. Nie z tego powodu, że ostatnie głosy w tych dyskusjach, które prowadziliśmy przed kilku laty, należały do ludzi ruchu społecznie postępowego katolików, lub że inni katolicy nie mieli możności szerokiej obrony swoich poglądów. Ruch katolików społecznie postępowych dlatego zwycięsko zakończył tamte dyskusje, że zdołał przekonać do swojej argumentacji przeważającą większość tych ludzi, którzy są miarodajni jako teologowie i filozofowie katoliccy w Polsce. Myślę tu o czołowych nazwiskach księży profesorów teologii i jej różnych dyscyplin, którzy publicznie dają wyraz swemu przekonaniu dla społecznie postępowej ideologii katolików w Polsce. Od kilku już lat minęły czasy, kiedy dyskutowano u nas niezgodność założeń ustroju socjalistycznego z doktryną katolicyzmu. Funkcja społeczna tamtych dyskusji okazuje się zwycięska dla ruchu społecznie postępowego. Oczywiście my mamy stały obowiązek do tamtych dyskusji wracać w sensie pogłębienia własnych założeń teoretycznych.

Ale stale pojawiają się przecież nowe problemy i wokół nich chciałbym podjąć dyskusję obecnie z moimi przyjaciółmi z prawicy. Wiem, że w tej chwili przeżywacie kilka zasadniczych zastrzeżeń.

Na czoło wysuwa się tu pewien Wasz zarzut. Mówicie tak: nakłaniacie nas do przyjęcia socjalizmu i całej waszej linii ideowo - politycznej, zwalczacie naszą absencję społeczną, ale stawiacie nas w potrzasku, mówicie o konieczności dokonania wyboru, ale wiecie, że jest tylko jedna alternatywa — pójść waszą drogą. Cóż to więc za wybór, nie może być mowy o wyborze, kiedy zmuszacie do aktywności, a można skierować ją tylko w jedną stronę. Tak mniej więcej rozumujecie.

Otóż w rozumowaniu tym popełniacie błąd. Trzeba się zastanowić, dlaczego dla katolików w Polsce i w ogóle dla całego narodu jest tylko jedna droga. Czy dlatego, że marksiści kierujący państwem tego sobie życzą? Niczyje życzenia nie oparte o rzeczywistość, o prawa rozwoju społecznego, o układ sił w świecie, nie mogłyby przesądzić sytuacji narodu. Sytuacja ta wynika właśnie z rzeczywistości zarówno jeśli idzie o rozwój procesów społecznych na świecie, jak też o układ sił politycznych. To właśnie taki a nie inny, konkretnie istniejący kontekst sił społecznych i międzynarodowych, to właśnie obiektywnie istniejąca rzeczywistość zmusza człowieka do dokonywania wyboru, stawia go nieuchronnie przed jedną tylko alternatywą.

Jedna jest tylko postawa w dzisiejszych warunkach podziału świata, postawa, która konsekwentnie wyraża idee sprawiedliwości społecznej, a także patriotyzmu. Teza, że „patriotyzm jest na lewicy" jest słuszna nie dlatego, że jak ironizują niektórzy moi przyjaciele z prawicy, my uważamy za patriotyczne, to co aktualnie jest przydatne komunizmowi w skali światowej! Patriotyzm jest na lewicy dlatego, że historia choćby ostatnich stupięćdziesięciu lat poucza, że wszystkie osiągnięcia ruchów niepodległościowych i narodowo - wyzwoleńczych były związane z ruchami rewolucyjnymi i społecznie postępowymi. Natomiast klęski ruchów niepodległościowych i narodowo - wyzwoleńczych następowały wtedy, kiedy ruchy te nie wyrastały na szerokiej fali dążeń i aspiracji społecznych klas uciskanych.

Obecna sytuacja międzynarodowa poucza w sposób tak jaskrawy, iż powinien być widoczny nawet dla daltonistów pewnego typu, że dzisiaj patriotyzm jest tylko i wyłącznie na lewicy. Patriotyzm jest dzisiaj na lewicy tak w Polsce, jak we Francji i wszystkich krajach niezależnie od ich ustroju politycznego. Świat zachodni nie widzi zwycięstwa swego porządku społecznego na drodze pokojowego współistnienia i współzawodnictwa. Dlatego jedyną jego nadzieją jest powstrzymanie siłą naturalnych procesów społecznego rozwoju. Dlatego organizuje i popiera odwetowców niemieckich, japońskich i inne ośrodki faszyzmu w świecie. Dlatego żaden naród nie może dziś wiązać swojej przyszłości ze światem kapitalistycznym, bowiem wtedy wiąże swą przyszłość z wojną i niebezpieczeństwem faszyzmu. Francja, a także Anglia, nie mówiąc o mniejszych państwach na Zachodzie w każdej sytuacji stawiając na montowanie bloku zachodniego, będzie śmiertelnie zagrożona przez imperializm niemiecki.

Nie zmieni tego zagrożenia taki czy inny system „wspólnoty zachodnio - europejskiej". W każdym systemie czy „unii" będą dominowały Niemcy zachodnie swoją liczebnością, potencjałem militarnym, dyspozycyjnością do wojny. Toteż głęboko twórcze i słuszne były historyczne słowa Stalina na XIX Zjeździe KPZR, że burżuazja wyrzuciła za burtę sztandar narodowy i że tylko ruch robotniczy może i powinien dzisiaj podejmować ten sztandar. Sprawa narodowa związana jest dziś nierozdzielnie z sprawą społeczną. Dlatego patriotyzm, tak jak postępowość społeczna jest dziś tylko na lewicy. Dlatego istnieje tylko jedna alternatywa i jedna droga wyboru. Nie dlatego, że taka sprytna jest dialektyka marksistowska, ale dlatego, że taka jest rzeczywistość na współczesnym szczeblu rozwoju ludzkości. Dlatego, moi przyjaciele z prawicy, możecie mieć pretensje nie do nas, że stawiamy tylko jedną alternatywę, ale do praw rozwoju społecznego. No, a przyznacie, że takie pretensje są śmieszne, więc doradzam — zrezygnujcie z nich.

CZY REWOLUCJA KŁAMIE?

Dobrze pamiętam, że we wszystkich dyskusjach, kiedy już nie macie argumentów ekonomicznych i politycznych, często odwołujecie się do moralnych, niezwykle ważnych przy rozumowaniu w kategoriach naszego światopoglądu. Tutaj na czoło wysuwacie argument kłamstwa. Nie może być słuszny, mówicie, system, który kłamie.

Przede wszystkim chciałbym Wam zwrócić uwagę, że operując słowami prawda i kłamstwo, musicie cały czas zdawać sobie sprawę, że odnosicie te słowa do kategorii społecznych, a nie indywidualnych. Prawdziwe w kategoriach społecznych jest to, co jest zgodne z prawami rozwoju społecznego, bowiem to jest właśnie rzeczywistością. Stąd nie rozumiejąc pewnych praw rozwoju społecznego, ujmowanych przez teorię rewolucji socjalistycznej nie mówcie, że rewolucjoniści po prostu kłamią. Raczej, raczcie zwrócić uwagę na to, że różnicie się w ocenie danego zagadnienia społecznego. I tu leży sedno sprawy. Ale wiążą się z tym dalsze zagadnienia. Ideologia socjalistyczna ma charakter dynamiczny. Opierając się na znajomości praw rozwoju społecznego widzi sprawy ludzkie w perspektywie, dalej niż są one aktualnie zaawansowane. Dlatego zjednując ludzi ideologia ta przedstawia procesy odbywające się, dając równocześnie obraz ich rozwiązania. Znając wynik końcowy, który jest zwycięstwem sprawy proletariatu agitacja socjalistyczna wysuwa go na czoło, by porwać masy.

Następnie socjalizm będąc ideologią walki klasyfikuje wroga nie tylko przez rozważanie jego subiektywnych pojęć i motywów, ale przez obiektywną, reakcyjną rolę społeczną, jaką odgrywa. Obiektywizowanie przejawów działania i procesów społecznych jest podstawową cechą postawy rewolucyjnej.

Ludzie nie znający praw rozwoju społecznego lub lekceważący te prawa zarzucają nam kłamstwo, gdy mówimy lub piszemy o procesach dokonywających się, jako o przesądzonych, lub gdy obiektywizujemy wymowę społeczną jakichkolwiek faktów. Ludzie ci nie patrzą dialektycznie na rzeczywistość, widzą ją statycznie, bez perspektywy rozwojowej. Stąd rodzą się prymitywne zarzuty, że cała propaganda socjalistyczna kłamie. Otóż kłamią właśnie ci ludzie, którzy widząc przyczyny negują skutki, dostrzegając znamienne przejawy wzbraniają się przed ich uogólnieniem. A na te uogólnienia zdobywa się właśnie ideologia społeczna socjalizmu i ona to wytycza drogę losów ludzkich w naszej epoce.

Tak wygląda sprawa od strony zasadniczej. Natomiast istnieje strona formalna, w której macie moi przyjaciele z prawicy dużo racji — ale znów nie macie monopolu na jej spostrzeganie. Racja Wasza polega na wielu błędach propagandy obozu rewolucyjnego, które są od dłuższego czasu wytykane także przez partie klasy robotniczej, zarówno w ZSRR jak w Polsce, czy na Węgrzech, gdzie w organach prasowych partii mogliśmy obserwować dużą kampanię za podniesieniem propagandy na wyższy szczebel. Chodzi tu o wyplenienie z naszych gazet wszystkich tych rzeczy, które zwalcza się w ostatnim okresie w sztuce, jak lakiernictwo i schematyzm, bezkonfliktowość i demagogia, frazeologia i operowanie utartymi, zatracającymi treść sloganami, i tak dalej, aż do złego języka ojczystego włącznie. Na te wszystkie wady cierpi, mimo pewnej poprawy, nasza propaganda. Także i szczególnie odnosi się to do propagandy i prasy ruchu społecznie postępowego katolików. Trzeba to mocno powiedzieć i grzmotnąć się głośno w piersi, abyście, moi przyjaciele z prawicy, zdziwieni usłyszeli.

IMPONDERABILIA HUMANISTYCZNE

Kiedy odpadnie teza o kłamstwie z reguły uciekacie się, moi przyjaciele z prawicy, do argumentów najtypowszych, które towarzyszą Wam od początku. Chodzi o te Wasze imponderabilia, moralne, czy humanistyczne, które każą Wam mówić *non possumus*. Wasze imponderabilia dotyczą zwykle problemu człowieka, jego wolności, jego rozwoju osobowego, wolności twórczej, koncepcji kultury. Ale przy tych wszystkich prawie „odwiecznych" argumentach popełniacie jeden błąd. Dobrze jest, gdy mówicie np. o wolności w abstrakcji, w oderwaniu od układu sił na świecie. Daleko gorzej jest, gdy zaczynacie porównywać. Wtedy nieuchronnie spotyka Was klęska. Bo cóż z tego, że możecie dowieść swobody, jaka przyznają rządy zachodnie powiedzmy egzystencjalizmowi, czy pragmatyzmowi w filozofii, nudyzmowi w obyczajowości, a dziesiątkom partii o jednakowym programie w polityce. Cała ta wolność istnieje tylko do granic, które mieszczą się w ramach systemu kapitalistycznego, w ramach finansowych interesów monopoli, trustów i karteli. Jeśli ktoś chce zrobić dalszy użytek z wolności w kierunku reform i sprawiedliwości społecznej, spotyka się już nie z reakcją liberalnego parlamentaryzmu, ale z twardą ręką faszyzmu w formie FBI i badań trzeciego stopnia, których ojczyzną, bądź co bądź jest właśnie Ameryka, w formie arcyprzemyślnych szykan i procesów politycznych, jak choćby ostatnio ten w Karlsruhe, przeciw Komunistycznej Partii Niemiec. Zastanówcie się przyjaciele, co to znaczy, że najsilniejsze w parlamencie, mimo niekorzystnej ordynacji wyborczej partie polityczne we Włoszech i Francji nie biorą udziału w rządach. Co to wszystko ma wspólnego z parlamentaryzmem, nie mówiąc już o wolności i demokracji?

No, a już zupełnie nie wytrzymują krytyki Wasze wszystkie zachwyty nad poziomem życia i dobrobytem na Zachodzie. Nie ma potrzeby przeczyć, że w niektórych (ale nielicznych) krajach zachodnich istnieje wysoki poziom cywilizacyjny. Ale czyim kosztem? W obu wojnach światowych zginęło dziesiątki milionów ludzi, a kilka krajów nie biorących udziału w tych wojnach, lub biorących udział mało kosztowny, zarabiało. Szwedzi sprzedawali łożyska kulkowe obu stronom, a USA, ten kraj właśnie dzięki obu wojnom wysunął się na czoło świata zachodniego. Zresztą Wy to wszystko wiecie, wiecie także ile milionów ludzi umarło z głodu w Indiach w ciągu ostatnich 10 lat według statystyk ONZ, wiecie co dzieje się w Gujanie, co w Afryce, a co w Persji! To wszystko dla Was argumenty banalne, typowo propagandowe, no dobrze, ale jeśli nawet są propagandowe, a nie macie im co przeciwstawić, to po co mówicie o wolności i dobrobycie Zachodu. Po co całe to zakłamanie, zamykanie jednego oka, patrzenie tylko na połowę świata.

Chodzi Wam o imponderabilia humanistyczne, o problem człowieka. Pięknie, ale szukajcie rozwiązania tego problemu tam, gdzie go można znaleźć. Jest prawdą, że marksistowska koncepcja człowieka, która przywraca mu jego godność, dając wyzwolenie społeczne, jest jednocześnie różna od katolickiej koncepcji człowieka, bo nie uznaje jego nadprzyrodzonego przeznaczenia. Zgoda, ale z tego wynika wniosek, że katolicy powinni sobie stawiać zadania światopoglądowe w nowym porządku społecznym, a nie, że powinni z nim walczyć.

Jest niewątpliwym faktem, że stanęliśmy na progu epoki, w której rządzą filozofowie, a problematyka światopoglądowa wiąże się ściśle z zagadnieniami politycznymi. Jest także faktem, że ponieważ nową epokę tworzą materialiści filozoficzni, więc światopogląd chrześcijański, ponieważ był silnie związany ze starym porządkiem społecznym, utracił pozycję uprzywilejowaną. Zakres wolności światopoglądu katolickiego wynika w tej chwili nie z przywileju, ale z oceny jego funkcji społecznej. W takiej sytuacji przed chrześcijanami stoi wielkie, historyczne zadanie wykazania, że związki chrześcijaństwa z poprzednią epoką były sztuczne, przemijające, nie dotyczyły istoty światopoglądu i religii, która jest transcendentna, trwała we wszystkich czasach i epokach. Droga chrześcijaństwa w nowej epoce polega na wykazaniu, że jest ono twórcze społecznie, że zawiera w sobie inspirację ideową do budowy nowego świata i lepszego życia na ziemi.

Trzeba mieć małą wyobraźnię, by nie pasjonować się patosem epoki i zadań stojących przed katolikami w Polsce Ludowej. Tym stwierdzeniem chciałbym zakończyć mój list do Was, przyjaciele z prawicy. Jeśli na niego zareagujecie, jeśli napiszecie do redakcji, może powrócę do dyskusji z Wami.

Andrzej Micewski

ZBIGNIEW DOLECKI

Moje Miasto

(Ojcu w 10 rocznicę śmierci)

Tobie dziś razem z modlitwą poświęcam
tych strof kilka, o mieście któreś kochał
i któreś mnie kochać nauczył od dziecka
— leżący daleko w podkrakowskiej wiosce...

W podróże najmilsze wyruszałem maleńki,
prowadzony co niedziela czule za rękę,
w podróże przez dźwięki, barwy i wieki
— a wszystko było łagodne i piękne.

W katedrze wysokiej, że aż w niebie ginącej,
pacierze o świcie, gdy grały organy
— później ciastko w cukierence żydowskiej
— żeglugi przez miasto rozdzwonionym tramwajem.

O parkowe dżungle i łabędzie, i ślady
na ścieżce złotej — pierwszej nieśmiałej miłości
— o podwórza jak studnie, ciemne przez dzień cały,
dziem ucałował cię na schodkach jak siostrę.

Ksiego zastygłych we wspomnienie lat chłopięcych —
'omie, w którym wraz z nimi na zawsze
ołnierzyki ołowiane w ogniu poległy —
Ojczyzno, w której w wiek męski wkraczam.

Błękitną klamrą nieba i rzeki spięte
z ziemią serdeczną, z najbliższym wzruszeniem.
Miasto Norwida, Lieberta, miasto mazowieckie
poetów wszystkich, zakochanych w wiślanej syrenie.

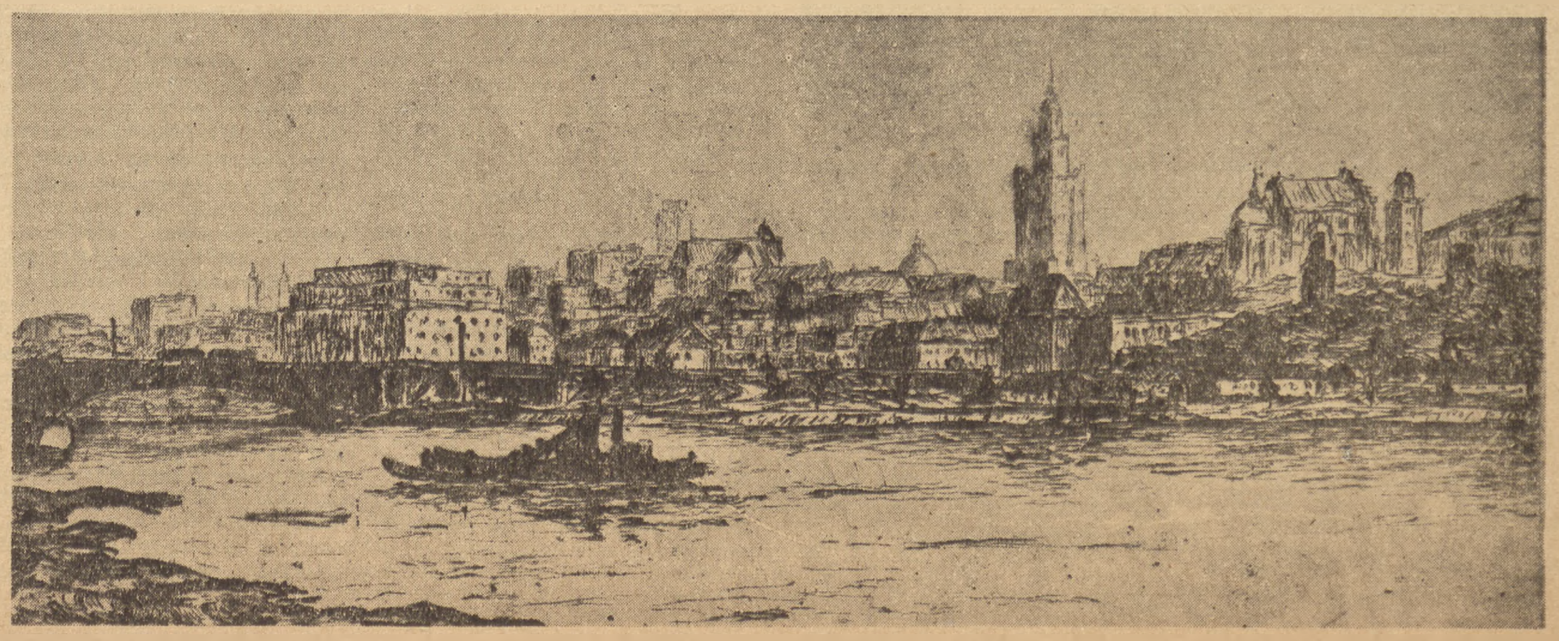

K. Niedzielski — Widok Warszawy (akwaforta)

STANISŁAW KRZYSZTOF STOPCZYK

MIŁOSIERDZIE

ilustrował Andrzej Pol

I. CELESTYN

SPOTKAŁEM go po dziesięciu latach. A raczej spostrzegłem go tylko w wewnętrznej szatni pewnego ministerstwa. Ubrany był przepisowo w strój służbowy, z dwoma rzędami srebrnych guzików i okrągłą sztywną czapkę z bardzo szerokim rondem. Ominąłem szatnię nie zdejmując palta. Nawet odwróciłem głowę. Widzisz, było to zupełnie drobne wydarzenie, powinienem, być może, pozdrowić go i zapytać o to i owo, ale wiesz przecież, jak często byle drobiazgi wprawiają nas w zakłopotanie, warte lepszej sprawy. Dziś sądzę, że odezwało się we mnie jakieś dalekie poczucie mimowolnej winy...

Ale będę mówił po kolei.

Epizod, który zamierzam ci powtórzyć, nie jest sam w sobie ważny ani charakterystyczny; jest to raczej smutna anegdota. Sam niedokładnie ją rozumiem, spróbuj więc rozważyć ją po swojemu, mój drogi.

Celestyna przyjęła na wychowanie moja stryjeczna babka, gdy był jeszcze chłopcem.

Była dostojną damą, członkinią wielu towarzystw dobroczynności, inicjatorką niejednej chlubnej akcji, piękną, przemawiającą z wysoka kobietą. Klasycznego okresu jej działalności nie pamiętam, minął bowiem wcześniej, niżlim przyszedł na świat, nie będę więc rozwodził się nad tym dłużej. Wiem na pewno, że w późniejszych latach była przez czas jakiś przełożoną własnej pensji i na tym stanowisku cieszyła się zasłużoną czcią.

Gwar, któremu niegdyś moja stryjeczna babka sama wyszła naprzeciw, wzrastał wokół niej z latami. Zagubione dziewczęta, starcy, jacyś weterani i biedacy, czasem oszuści, wszyscy potrzebujący opieki lub pokrzepienia schodzili się do niej we właściwe dni tygodnia i znajdowali pomocną dłoń, którą całowali odchodząc. Więc wzrastała wokół babki dobra sława kobiety opatrznościowej, dla tych zesłanej z nieba, dla tamtych — bogatej niezmiernie.

Jedno i drugie nie było chyba prawdą. Nie będziemy bliżej dochodzili tej kwestii: cnotę należy akredytować zawsze nie bacząc, z jakiego wywodzi się źródła. Ufam, że moja babka miała czyste ręce i tylko wielkie serce.

...Celestyn zaś był sierotą. Jak powiadają — taki się już urodził. Matka odeszła cicho, nim nauczył się rozpoznawać jej oczy i głos; odejście ojca nastąpiło w kilka lat potem. Celestyn nie wiedział dokładnie, co się z ojcem stało. Dosyć, że któregoś dnia nie wrócił do domu.

Kilka następnych lat uchyla się mojej wiedzy, odwołuję się więc do twej wyobraźni. Później odnalazła go i przygarnęła moja babka.

Ach! Ten chłopak urodził się pod szczęśliwą gwiazdą!

Nie przypuszczam, aby był jedynym sierotą, którego babka Józefina spotkała na drodze swego miłosierdzia. To, że wybrała właśnie jego, powinien zawdzięczać więc szczęśliwemu trafowi. Dlaczego jednak obok swej zasadniczej, tak bujnej przecież pracy charytatywnej babka moja spróbowała sił na polu opieki bezpośredniej a ciągłej — nie wiem dokładnie. Ale przypuszczam, że była po prostu samotna. Może męczył ją egoizm i drapieżność tych biedaków? Dosyć, że po przyjęciu Celestyna do siebie, przyjęciu na własność, babka stała się w oczach swoich dłużników przebiegła i skąpa.

Przez dwa lata nauczyła Celestyna jeść widelcem i nożem, pacierza (a raczej pewnej określonej modlitwy, do której sama odnosiła się ze znachorskim przekonaniem), plecenia nicianych guzików dla jakiejś ochronki i wdzięczności za to wszystko. Obowiązki chłopca były początkowo niewielkie: musiał się modlić, przestrzegać przykazań babki, odklejać marki pocztowe dla akcji wspierania Murzynów i tak dalej. Były to rzeczy nietrudne i pojętny chłopiec łatwo dawał sobie z nimi radę. Nudziło go to trochę, ale nie był to przecież wygórowany haracz za to wszystko, co zyskał. Dla niektórych rzeczy zresztą (co babka witała ze szczególną radością) wykazywał nawet pewne zainteresowanie, na przykład z zadowoleniem zajmował się oglądaniem kolekcji motyli, które jego opiekunka otrzymała niegdyś od zubożałego profesora matematyki, a które dotychczas nie miały u niej wzięcia i leżały na dnie komody. Dostrzegała wtedy promień w oczach chłopca, brała go za czuprynę pełną garścią i z serdeczną brutalnością wykręcała jego głowę ku swojej twarzy. Nie lubił tego, ale znosił, bo interesowały go motyle...

To wszystko trwało dwa lata, mój drogi. Po tych dwu latach na babkę spadła nagle wiadomość, która zachwiała potężnie jej niewzruszonym dotychczas spokojem, która kazała jej zwątpić albo w swą nieomylność w sądzie o ludziach, albo w ogóle w sprawiedliwość rządzącą tym światem. Co się stało?

Celestyn nie był dzieckiem ubogich rodziców. Celestyn nie był sierotą. Celestyn był synem notorycznego kryminalisty, złodzieja, indywiduum o najgorszej przeszłości, które żyło i — jak babka stwierdziła — odsiadywało swą przeszłość w dożywotnim więzieniu.

Nad Celestynem zawisło nieodwołalne przeznaczenie: miał wrodzone predyspozycje do grzechu, ukrytą gotowość do zbrodni, która kiedyś odezwie się niezawodnie. Już teraz na charakterze chłopca rysowała się głęboka szczelina. Babka nazwała ją bezczelnym i zrozumiałym sprytem. Cóż innego, jeśli nie bezczelny spryt, mogło skłonić go do zatajenia swej hańby?

Wkrótce potem zdarzył się wypadek, który utwierdził babkę w złowrogim przekonaniu, z kim weszła w komitywę: mój Celestyn w czasie nieobecności opiekunki zeżarł słój morelowych konfitur i naturalnie wymiotował. Babka pod wpływem gniewu i obrzydzenia uderzyła go w twarz. Niemal równocześnie z gardła jej wydobył się głos przestrachu i żalu i pośród ciszy, która nagle nastała, spoglądała na swą wzniesioną jeszcze dłoń okrągłymi oczami. Ale teraz była już pewna. I cóż jej pozostawało? Wyrzucić to dziecko na ulicę? Na to nie pozwalała jej opinia. Wytłumaczyć, kim było to dziecko naprawdę? — Lecz jakże oczyszczać się z niepostawionego zarzutu? Zamknijmy ból i zawód we własnym sercu, dla ludzi pozostaniemy wtedy nieskalani.

Ale przecież żyły w babce nieufność i uraza, nie pozwalając jej dłużej na szczerą troskę o chłopca, pełną tych wyrzeczeń, na które zdobywała się dotychczas przejęta zbożną misją wychowania człowieka. Wczoraj wierzyła, że go wychowa — dziś pogrzebała wszystkie nadzieje.

Celestyn tracił stopniowo swe syciecego niemal zdumienia wysyłała wprawdzie cały trening życiowy i ziętkość, swą znaczną rutynę w postępowaniu z ludźmi. To było straszne i złe. Ale przecież nie ominęło ją bolesne rozczarowanie. Odrzuciła bowiem żywotną i wszechstronną działalność charytatywną i wzniosła się na chwilę, na dwa lata do symbolu, aby potem jednym nieopatrznym ruchem ten symbol zdruzgotać. (Bo, myślę jednak, jestem przekonany, że spośród wszystkiego, co zaszło między Celestynem i babką w tych niespokojnych dniach, najważniejsze było to, że Celestyn dostał po twarzy). Babka cierpiała może, ale było to niedobre cierpienie. Przeto opowiem ci, jak było dalej, i — nie dziw się, proszę — nie będę babki mojej oszczędzał, jednak nie będę jej także chłostał. Opowiem ci, jak było dalej:

Celestyn przestał się uczyć; tę czynność wykreślono z jego obowiązków. Nie dziwił się temu. Poznał już wprawdzie, jak wygląda nauka, ale nie znał jeszcze jej smaku i dobrodziejstwa. Przestał także oglądać motyle i pamiątki, z których przemawiała do babki przeszłość i które zasłoniła prędzej, niźli kiedyś pozwoliła wtargnąć w nie chłopcu. Włosy, które niegdyś pieściła swoją suchą dłonią, dla higieny obcięto i wyjrzała spod nich głowa wysoka jak jajko, o nieco zapadniętym ciemieniu i spłaszczonej potylicy. Poza tym krótkie porteczki zamieniono na spodnie. Moi stryjowie, a jej bratańcy nosili wówczas króciutkie spodenki — ale byli to przecież „panicze".

To wszystko nie nastąpiło równocześnie, lecz w pewnych odstępach czasu: tylko w garderobie teatralnej można wszystko uczynić naraz bez zdziwienia. Do tej roli, jaką miał odegrać Celestyn, należało go sumiennie i metodycznie przygotować. Dziwna to była rola. Miał zostać lokajem, pokojowcem, famulusem przy samotnej damie, czy ja wiem. Był jednakże nie tylko jej dłużnikiem, ale po trochu i wierzycielem, jeśli można się tak wyrazić. Wstąpił już bowiem w sferę jej największych tajemnic, a stamtąd nie ma nigdy powrotów. Toteż babka traktowała go jakoś lepiej i cieplej, ale też gwałtowniejsze, bardziej „macierzyńskie" były jej gniewy.

Przestał się także modlić. Odprowadzał wprawdzie swoją panią co niedziela na wczesną mszę, ale też szedł zawsze dwa kroki za nią, ubezpieczał jej chwiejny chód, lecz nie towarzyszył nigdy jej uduchowieniu. Przywykł do tego obyczaju: jeśli chodził z nią gdziekolwiek to zawsze z tyłu, a rozmawiając z nią stawał przy drzwiach.

Rozkazy babki nie były trudne, ale najczęściej nużące. Ich wykonanie było zawsze przestrzegane z tą uciążliwą dokładnością, którą odznaczają się starzy, nader czcigodni ludzie. Pośród rozmaitych zajęć, wykonywanych powoli i angażujących wiele czasu — Celestyn uczył się lenistwa. Co więcej — leniuchowanie sprawiało mu cichą radość i w rozkładzie prac zajmowało osobną pozycję. Było czynnością wyrafinowaną, przemyślaną do końca, i polegało na leżeniu do góry brzuchem z nogami wspartymi o żelazną poręcz łóżka i rękami splecionymi pod głową. Było to uroczyste leniuchowanie, całkowity triumf ducha nad ciałem. Widzisz: jego nic tutaj nie interesowało! Cóż miał do roboty żywy, młody człowiek w obliczu tego ogromnego dobra, które wymykało się wszelkiej rachubie i tak nieprzyzwoicie sąsiadowało z jego osobistą przegraną? Ale on nie ogarniał wówczas ani ogromu tego dobra, ani głębi swej klęski.

Mówisz, że powinien „wziąć węzełek na ramię i pójść, gdzie oczy poniosą". Ależ tak! Z węzełkiem na ramieniu zaszedłby aż do Madrytu, jeśli po drodze nie kupiłby sobie osła!

Ale jego nie uczono geografii i nie pokazano mu drogi. Pokazano mu za to dobro, mieniące się, jak przystoi, wszystkimi odcieniami miłosierdzia, litości, współczucia, wzbijające się na niezmierzone wysokości i zniżające lot — zależnie od potrzeby. I jego kiedyś wywyższono i przeto własne światełko i własny mrok musiał uznać za równie sprawiedliwe.

Zdajesz sobie sprawę, jak dziwny był jego pobyt w tym domu. Tym więcej, że Celestyn, obecnie już dwudziestoparoletni, nie pobierał żadnego uposażenia, co najwyżej od czasu do czasu otrzymywał parę złotych na opędzenie drobnych potrzeb.

Kiedy wszakże ubranie, które nosił, wymówiło służbę a jego właściciel wpadł w nałóg palenia, odważył się poprosić babkę o jakąś stałą pensję. Widocznie pojął nareszcie istotną hierarchię stanowisk. Nie uważał nawet za potrzebne uzasadniać babce swego żądania — wydawało mu się oczywiste, że służący pobiera pieniądze.

Naturalnie nie odmówiła. Odpowiedziała tak:

— Mój Celestynie, przyznaję, że dotąd nie chciałam upokarzać cię pieniędzmi, bo pieniądze są naszym nieprzyjacielem, czasem nawet wrogiem. Ale rozumiem, że każdemu wolno chodzić taką drogą, jaką sam sobie wybierze. Więc dobrze. Wyznaczę ci pensję, mój drogi. Ale chcę — chyba dobrze cię rozumiem — chcę, abyś miał ze swej pracy pełną satysfakcję. Różnie to tam z tą pracą bywało — ale nie mówię teraz o tym. Więc... nie chcę cię upokarzać. Za to, co dostałeś ode mnie, o, za to ubranie i wszystko, co masz, pragnąłbyś pewnie odpłacić. Dobrze, nie będę przeciwna: od dziś dnia pensja, którą ci wyznaczę, pójdzie na pokrycie moich wydatków. Potrwa to najwyżej trzy, cztery lata, a potem będę ci te pieniądze wypłacała na rękę pierwszego. Czy się rozumiemy?

— Ale mi się rozłazi to ubranie! — zakrzyknął Celestyn i umilkł spłoszony.

— Czy chcesz, żebym kupiła ci nowe? Na to nie mam pieniędzy. Bądź cierpliwy. O ileż będzie ci milej, gdy po pewnym czasie kupisz sobie sam. Pamiętaj, że nie ma nic większego nad godność człowieka.

O, możesz być przekonany, że babka dotrzymała słowa. To była rzetelna kobieta. Po kilku latach Celestyn stał się płatnym służącym, wszakże na ubranie czekać musiał jeszcze kilka dalszych lat.

Upływał czas.

Celestyn stał się mężczyzną, babkę coraz częściej nawiedzały myśli niespokojne, które wespół z chorym sercem odbierały jej sen. Zaczęła powoli przymierzać się do wieczności, stała się sroga, odpychająca i skąpa. Bywały dnie, że nie podnosiła się z łóżka. Siedziała oparta płasko o poduszki z różańcem oplecionym na ręce i spod opuszczonych, wypukłych powiek spoglądała na przeciwległą ścianę, gdzie z fajansowego medalionu wychylała się ku niej zmęczona twarz Chrystusa w cierniowej koronie.

Celestyn kręcił się po domu, zaglądał do pani, poprawiał jej poduszki i świadczył różne usługi, nieraz zaawansowane daleko, co wynikało zapewne z okoliczności, że był to dom wszelkiego miłosierdzia.

Pewnego dnia babka zasłabła tak dalece, że przywołała Celestyna i powiedziała:

— Widzisz, mój chłopcze, jakie to wszystko jest kruche. Umrę już niedługo, może dziś, może jutro rano. Powiedz mi — chwyciła go za rękę i przyciągnęła ku sobie — powiedz mi... Czy będziesz wtedy szczęśliwy? Ach, nie mów, nie mów nic... — przymknęła oczy — ja wszystko wiem... Dzisiejsza służba... Ale nie! — znów rozwarła szeroko powieki — ty byłeś jak syn mój własny. Kochałam cię... Będziesz mnie żałował?

— Będę — odpowiedział posłusznie Celestyn.

— Kłamiesz. Dlaczego kłamiesz? Czemu tu stoisz? Czy sam Bóg... — zachłysnęła się i opadła na poduszki.

Celestyn był już za drzwiami. Nie chciał oglądać jej śmierci. Był na to za uczciwy...

Następnego dnia, wczesnym rankiem, ostre szarpanie wyrwało Celestyna z drzemki, w którą zapadł po nocy pełnej lęku. — Babka oczywiście nie umarła. Nieoczekiwanie nastąpiło polepszenie, powrócił jej oddech i wstała, gdy zobaczyła pierwsze światła dnia. Ubrała się nawet samodzielnie, na powrót upięła włosy i poszła przebudzić Celestyna. Wróciła...

✠

Minęło znowu kilka lat.

I oto widzę go: idzie przygarbiony o dwa kroki za babką i niesie na rękach wielki tort strojny lukrowymi kwiatami, który moja siostrzyczka otrzyma na swe jedenaste urodziny. Widzę go: człowieka, któremu życie odebrało wszystko, nie szczędząc nawet poczucia nędzy, w którym nie ma dumy, ale jest przynajmniej wielki, ludzki ból.

Czy życie mu za to zapłaci?

II. PORA GNIJĄCEGO OWOCU

BABKA od kilku już dni dzielnie wojowała w piwnicy. Ta kobieta przepojona była zaiste zdumiewającym hartem, zważywszy, że biegł już czwarty tydzień powstania i że najwytrawniejszym nawet graczom udzieliło się znużenie i lęk.

Opuściła mieszkanie niezupełnie przekonana o potrzebie tego posunięcia. Nie sądziła, aby domowi na Kruczej groziła jakaś poważniejsza katastrofa, i chociaż sąsiednie kamienice spłonęły powoli od dachu do parteru, babka taką ewentualność dla własnego domu odsuwała od siebie, przekonana, że zniszczenie człowieka w nim bierze początek, że nic nie dzieje się bez naszego wewnętrznego imperatywu, że panika wreszcie źle świadczy o sumieniu. Ona zaś miała czyste sumienie i ufała Opatrzności.

Jeśli więc zdecydowała się wreszcie — wbrew swemu przekonaniu — zejść do piwnicy i tam zamieszkać — to nie dla niej samej zapewne, lecz dla bliźnich. Od pierwszego dnia rozpoczęła akcję sanitarną: toczyła dramatyczne boje o to na przykład, aby matki nie tłamsiły przy piersi niemowląt, co wobec braku powietrza pachniało wprost higienicznym skandalem, urządziła toaletę przeznaczając na nią własną przestronną piwnicę, zorganizowała dostawę wody i uczyła wszystkich specjalnych modlitw, których nieznajomość sprowadzić mogła nieprzewidziane następstwa. To wszystko nie było łatwe, ale babka Józefina była przecież tak niezwykła!

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

SAMOTNOŚĆ

SPOŚRÓD różnych rodzajów samotności, dostępnych człowiekowi, jest jedna szczególnego rodzaju — znana dobrze ludziom chorym na serce. Przychodzi ona w nocy — porze, kiedy ludzie łatwiej niż kiedykolwiek tracą kontakt z otoczeniem, zamykają się w sobie, oczekują, nieraz z lękiem, na coś, co może nadejść i wyrwać ich z dotychczasowego biegu życia; na coś, co to życie może z gruntu przeobrazić, a nawet zakończyć. Dziwna rzecz: punkt szczytowy, apogeum tego uczucia wypada zwykle tuż przed świtem, w chwili, kiedy ma się narodzić nowy dzień, tchnący optymizmem przyszłości, jaką przynosi. Niełatwo jest znieść taką samotność.

Tego rodzaju metafora nasunęła mi się przy niedawnym spotkaniu z bohaterami wojennych książek Jerzego Andrzejewskiego — w ich tegorocznych reedycjach [1]). Termin: metafora dziwnie zresztą nie przystaje do prozy Andrzejewskiego pulsującej realizmem, której słowa i zdania nie tyle nazywają świat, ile go wprost dotykają, wywołując u czytelnika niemal natychmiast plastyczną wizję rzeczywistości. Do znaczenia symbolu urastają tylko tytuły tych książek — tkwiący u ich podłoża porządek filozoficzny pisarza.

Wróćmy jednak do samych książek, których pierwsze wydania były swego czasu nie lada wydarzeniami literackimi. Nie dziw, że „Noc" zajęła w plebiscycie czytelników „Odrodzenia" miejsce obok „Dymów nad Birkenau" i tomu opowiadań Żukrowskiego. Tematem nowel Andrzejewskiego — podobnie jak i „Popiołu i diamentu", noszącego przecież pierwotnie tytuł: „Zaraz po wojnie" — była wojna i okupacja, a raczej ich rola w życiu pojedynczego człowieka. W książkach tych Andrzejewski odpowiadał własnym pragnieniem na pragnienie czytelników — pragnieniem, aby jakoś wymierzyć sprawiedliwość dopiero co minionym czasom, aby je jakoś zrozumieć, uporządkować poprzez wizję artystyczną. Utwory te miały być zakończeniem rozrachunków z nocą okupacji — w momencie świtu naszej nowej niepodległości. Czy jednak Andrzejewski rozrachunki te naprawdę zakończył — czy też dopiero rozpoczął?

W „Nocy" i „Popiele i diamencie" widać jakiś dogłębny wstrząs, jaki lata 1939—45 wywołały i pozostawiły w duszach i życiu bohaterów tych książek. Ci ludzie — a wraz z nimi pisarz — uporczywie powracają refleksją do lat niedawnych, a urosłych nagle do rangi epoki historycznej. Takie wspomnienia, nabrzmiałe starannie ukrywaną przez pisarza goryczą, wracają — niby uparty a monotonny motyw muzyczny — są udziałem i więźniów obozu koncentracyjnego („Apel"), i polskiej Żydówki („Wielki Tydzień"), i działacza partyjnego („Popiół i diament"). Postacie stworzone przez Andrzejewskiego — które pisarz umieszcza w najbardziej tragicznych i zarazem typowych dla okupacji i czasu pookupacyjnego sytuacjach — przeżywają wciąż na nowo, poprzez te wspomnieniowe porównania, nieodwracalną, a jednak mało zrozumiałą metamorfozę życia i świata, w jakim się poruszają.

Tutaj muszę otworzyć istotny dla samego meritum sprawy nawias. Zbyt pochopnie — szczególnie dzisiaj — przechodzi się do porządku nad sprawami i czynnikami, które kształtowały życie naszego narodu w latach 1939—45. Pochłonięci — i słusznie — optymizmem budowy nowej rzeczywistości społecznej i kulturalnej, zapominamy o ludziach i ich ofiarach z najcenniejszego skarbu: życia, o ludziach, którzy umożliwili nam ten optymizm, a wobec których zaciągnięty dług wdzięczności jest często tak ogromny, że aż niespłacalny. Zapominamy wreszcie często o negatywie tego zagadnienia, o zjawisku społecznym, które właśnie w tamtych latach ukazało swoje właściwe, a nieludzkie oblicze: o faszyzmie.

Nowe wydania utworów wojennych Andrzejewskiego sprawy te niewątpliwie przypominają i aktualizują. Ale — jednostronnie. Ciężar swojej wizji artystycznej oparł bowiem Andrzejewski na ludziach, którzy w ten czy inny sposób stali się ofiarami hitleryzmu w Polsce, zapłacili zań nieraz droższą od życia — godnością. Ale w „Nocy" i „Popiele i diamencie" są właściwie obecni tylko oni, zaczadzeni w ten czy inny sposób faszyzmem — brak jest tam natomiast samego faszyzmu. Losy tych ludzi, ich niedwuznaczna wymowa, gwałtownie protestują przeciw bestialstwu wojny i okupacji. Ale Andrzejewski nie wskazuje przez nie na istotną przyczynę tego bestialstwa.

Ludzie Andrzejewskiego są samotni jakąś bezlitosną i twardą — a do tego bierną — samotnością. Są nie tylko oderwani od swoich przeciwników — twórca izoluje ich również od przyjaciół i sojuszników w walce. Każdy — nawet najbardziej marginesowy i epizodyczny — bohater „Nocy" i „Popiołu i diamentu" jest pozostawiony przez pisarza tête à tête z własną historią osobistą i — jej tragizmem.

Właśnie przy lekturze „Nocy" i „Popiołu i diamentu" narzucało mi się nieodparcie określenie: laicki tragizm, zastosowany kiedyś — niezbyt słusznie — przez Jana Kotta do Conrada. Postacie Andrzejewskiego są bezwarunkowo tragiczne, gdyż giną w sposób trudno zrozumiały i wytłumaczalny, nie dający się wtłoczyć w jakąś afirmatywną postawę wobec świata. Ich śmierci są różne, przypominające swą rozmaitością, a zarazem reprezentatywnością dla tamtych lat „Sztukę umierania" Skierskiego. Ale w tych śmierciach nie ma — poza przypuszczalnym zgonem kapo Schindera — akcentu nadziei, wynikającego z ich znaczenia dla przyszłego życia w sensie doczesnym i metafizycznym. (Pod tym względem bije — moim zdaniem — wszystkie omawiane tutaj utwory „Wielki Ty-

[1]) Jerzy Andrzejewski: Noc. PIW; Warszawa 1954. Wyd. IV. Popiół i diament. Czytelnik Warszawa 1954. Wyd. III.

...Celestyn zaś pozostał na górze. Nie posądzaj jednak babki mojej, że zostawiła go na pastwę losu. Nie zaproponowała mu wprawdzie, aby z nią razem zszedł do piwnicy, ale czy myślisz, że miałby na to ochotę? Jeśli tak, to nie znasz Celestyna. Babka, widzisz, znała go lepiej. Wiedziała że do jej propozycji odniósłby się z takim samym nierozumnym uporem jak w dni wigilijne, gdy chodziła do kuchni, aby

zachęcić go do wspólnego stołu. — „Nie dla mnie taka kolęda" — mówił wtedy. Opuszczając przeto mieszkanie powiedziała tylko: — „Pilnuj moich kufrów" — i poszła.

Celestyn znalazł sobie dogodny kąt za najgrubszą ścianą, ściągnął tam dwa wielkie kufry, z których jeden zawierał garderobę, a drugi pamiątki — i odziany w wytarty płaszcz (na wszelki wypadek) usiadł przy nich drzemiąc po swojemu w postawionym kołnierzu. Drzwi były otwarte, jak wszystkie we frontowej oficynie — żądali tego Niemcy, którzy nieraz korzystali z zewnętrznych okien: strzelali z nich w głąb ulicy Hożej.

Babka więc wojowała w piwnicy, a Celestyn warował przy jej kufrach. Właściwie było mu to obojętne. Nie miał nic poza tymi kuframi na świecie, a i one nie należały do niego. Swoje osobiste rzeczy upchał po kieszeniach.

...Człowiek, który rośnie, dojrzewa i wreszcie dosięga starości, spotyka nieustannie coraz to nowe rzeczy i zdarzenia i aby sprostać życiu, staje przed obowiązkiem nieustannych, radosnych lub bolesnych przyzwyczajeń. Celestyn zaś od samego początku odzwyczajał się tylko. Prawa swe i marzenia, garstkę złudzeń posianych niegdyś w chłopięcej wyobraźni zdawał ratami, z roku na rok, stawał się cieniem idącym w ślad za swym gigantem miłosierdzia. I oto nie pozostało mu nic. Był słaby? Nie przeczę. Ale był taki, jakim może być człowiek wyrzucony doszczętnie za burtę.

Wędrowca na pustyni, który pragnie żyć, uratują trzy krople wody wyproszone u napotkanego kamienia. Byle bardzo pragnął żyć... Idącemu nad głęboką przepaścią wystarczy licha gałązka, wystarczy sama świadomość oparcia. Dla Celestyna nie tryskało nigdy żadne źródło i nikt mu nie dawał oparcia. I był przeto — jak mówisz — słaby.

I nie miał już żadnych pragnień.

Minął jeszcze tydzień. Był wrzesień, miesiąc, jak przypominasz sobie zapewne, upiornie gorący, drugi i ostatni miesiąc powstania. Pewnego dnia babka pojawiła się na górze, żeby zabrać trochę zapasów (były to już resztki z jej niegdyś dobrze zaopatrzonej spiżarni), i mieszkania. Wprawiła w ruch Celestyna i razem chodzili po pokojach doprowadzając do ładu sprzęty, otrzepywali je z siwej warstwy kurzu, który zalegał na nich od dawna. Powietrzem wstrząsały detonacje; lada chwila to wszystko mogło się zamienić w jeden tuman siwego kurzu, ale babka prace swoje uważała za niezbędne (mieszkanie miała przecież w dożywocie!).

Na tej czynności zastał ją leutnant, szef grupy szturmowej okupującej dom. Z powodu natarczywości wobec lokatorek przezwano go tu „*Sind-sie-allein*". Otóż *Sind-sie-allein* podszedł do babki i powiedział: — *Frau Kommandant* — niech pani uważa: jutro wszyscy będą *raus*. (Babka słuchała go ustawiona trochę bokiem, patrząc znad lewego ramienia). Wszystkie drzwi zostaną otwarte, rozumie pani? Graty można zostawić. Nie zginą. Tu są sami Niemcy. Wszystko musi iść w największym porządku — *In höchster Ordnung — verstehen Sie gut?* — Babka skinęła głową. — *Es wäre alles*. Do jutra, *Frau Kommandant*. I niech oni wyłażą z piwnicy — powiedział *Sind-sie-allein* i wyszedł z mieszkania.

Babka wytarła jeszcze resztkę kurzu z kredensu, po czym odłożyła ścierkę spokojnie i na zawsze. Wzięła ze sobą Celestyna: kazała mu otworzyć kufry i pod swoim dyktandem przekładać ich zawartość do dwu solidnych waliz, spiętych żelaznymi klamrami.

*

EWAKUACJA rozpoczęła się na ogół punktualnie, lecz mimo otuchy, jaką wśród lokatorów próbowała zaszczepić babka, zastała ich — jak to zwykle bywa — nieprzygotowanych zupełnie. Pojawienie się w piwnicy plutonu eskorty, mającego odprowadzić tych ludzi ku nieznanemu przeznaczeniu, wzbudziło bezład i panikę. Krótkie niemieckie słowa odbijały się od ściany lamentu niezrozumiane i straszne.

Prędko jednak wszyscy znaleźli się na ulicy. Wszystko odbyło się „w największym porządku". Stali ciasną gromadą, wpatrzeni wyblakłymi oczami w perspektywę swojej, a jakże obcej i nieprzyjaznej ulicy.

Nie zamierzam opisywać ci tego dokładnie, znasz dobrze realia tej diabelskiej pomyłki. Wiesz, że mimo przerażenia w każdym tliły się jeszcze ostatki instynktu własności, każące cisnąć do siebie resztki bezmyślnie pochwyconego dobytku, rzeczy niepotrzebne i drogie.

Pośród tłumu, gdzieś na końcu formującego się szeregu, stała moja babka i wciągała niciane rękawiczki. Włosy zaczesane piękną aureolą wokół głowy spięła starannie i już gotowa była odejść. Za nią stał Celestyn z rękami zwieszonymi nad uchwytami waliz.

Z głębi ulicy ściągał pochód mieszkańców innych kamienic, którym ten sam pisany był los: połączono ich razem.

Potem zabrzmiała komenda: niezdarnie, opornie zafalowała szara rzeka ciał i ruszyła z miejsca pod promieniami wrześniowego słońca.

Lecz — o marności obliczeń! — byli tacy, którzy już tu, niemal pod samą bramą, zostawiali dobytek, porwany w gorączce. Zobaczyli horyzont, poznali drogę, którą pognano ich los, i nagle poczuli się nasyceni, dość nasyceni, straszliwie nasyceni i zbyt słabi, aby obciążać ramiona zbędnym ciężarem.

I właśnie w tej chwili Celestyn ugiął się i musiał porzucić walizki: na głowę spadło mu coś miękkiego i spowiło go na chwilę tłumiąc powietrze. Podniósł ręce, chwycił mocno za kudły nieznanego zwierza i szarpnął. Znowu powrócił mu blask. W rękach trzymał błam futrzany, ciężki, puszysty, piękny. Pochwycił odpływający już głos: „Trzymaj... na mnie już za wiele... noś... Noś!"

Celestyna mijały szeregi. Stojącemu zdawało się, że biegną. Zdawało mu się, że chwyta spojrzenia pełne obawy, gniewu, trwogi, że widzi wykrzywione ku sobie głowy i usta szeroko otwarte. On jeden, czarna wyspa pośród oceanu nędzy, stał z ciężkim futrem zawieszonym na rękach...

Nadbiegł żandarm i Celestyn poczuł uderzenie. Zachwiał się, lecz odzyskał równowagę, przerzucił futro przez ramię i porwał walizki. Pobiegł zgięty pod nowym jarzmem i patrzył przed siebie spod pochylonego czoła. Był na końcu i już pozostawał w tyle. Musiał za wszelką cenę nadrobić odległość dzielącą go od ostatnich szeregów — groziło mu najgorsze.

Żołnierze biegają wzdłuż kolumny i wymachują rękami. Wyglądają jak zdenerwowane czymś manekiny, wykonujące w milczeniu złowróżbne pląsy dokoła ciżby ludzkiej, nakręcone i złe.

— *Looos!*

Resztką sił dopadł ostatnich szeregów, szarość przesłoniła mu oczy i pośród tej szarości dostrzegł swoją dobrodziejkę stojącą tyłem do ruchu pochodu, naprzeciw ludzkiej fali z ramionami otwartymi szeroko gestem pełnym rozpaczy.

— Na miłosierdzie boskie! Moje walizki!

Pochyliła się nad nim i szeptała mu w twarz dysząc zmęczeniem i złością: „Czy ty jesteś zwierzę czy człowiek? Głupcze. Moja ostatnia chudoba. *Ein Moment, Herr Offizier*. Marsz!"

Popchnęła go i Celestyn poszedł.

— Jezu mój! Pięknie. A to mi się podoba. Pięknie — powtarzała babka raz po raz. Puściła go przodem i po raz pierwszy poszła za nim, warując przy resztkach dostatku.

Celestyn idąc pod eskortą nie mógł już myśleć o wygodzie. Nie było mowy o postawieniu walizek choćby na jeden moment, dla rozprężenia zmartwiałych rąk. Futro przewieszone przez ramię okalało mu niemal głowę, zabierało powietrze, dusiło. Ciążyło mu przy tym niemiłosiernie, bo — jakem ci powiedział — było to piękne, wielkie futro, solidny bobrowy błam. Gdy poczuł jednak, że zsuwa mu się ono z ramion, że lada chwila spadnie na ulicę — zdecydował się i wypuścił z ręki jedną walizkę, żeby umocować lepiej swój prywatny bagaż. Nie wiem, czy babka czekała na tę chwilę: dość, że w okamgnieniu rzuciła się naprzód, obiema rękami chwyciła za futro i przytrzymała.

Teraz Celestyn odstawił obie walizki. Odwrócił się ku swej dobrodziejce i wyciągnął do niej ramiona. Nie powiedział przy tym ani słowa, pochylił tylko głowę i trwał tak z wyciągniętymi ku babce rękami, a ona naprzeciw niego tuliła do siebie futro konwulsyjnie, rozpaczliwie, a potem mocno rzuciła nim o bruk.

— Albo walizki, albo futro — powiedziała.

Nadciągali ludzie.

Celestyn nie czekał: schylił się nagle ku ziemi i porwał swój skarb.

— Jak śmiesz? — syknęła babka.

— Jak ty śmiesz?

I jakże on śmiał? Jakże śmiał w tak niecny sposób deptać zasady wszelkiego humanitaryzmu, które prócz wielu nader demokratycznych ograniczeń nie zapomniały przypomnieć i o tym, że dobrobyt czerpany z cudzej nędzy poniża i upadla... Stał oto przed babką nagi w swej ludzkiej szpetocie, bezsilny i spodlony, zbogacony na wojnie, łupieżczy, mały. Jakże on śmiał tym łupem obciążać konto swoich sił, należących wyłącznie do babki?

Nie wiem, czy właściwie pojąłem jej intencje. Dodaj do tego lub ujmij, co zechcesz. Sprostuj według własnego sumienia. Ale jeśli miarą autorytetu — jak sądzą niektórzy — ma być posiadany majątek, to zważ, że babka miała teraz tylko dwie walizki, z którymi wygnano ją na ulicę — i oto Celestyn pokusił się odebrać jej tę resztkę ocalonego z pożogi znaczenia, stanął na jej drodze bogatszy o całe jej ubóstwo, silniejszy, zdolny do niebywałego sprzeciwu!

Przecież powrócił do walizek, dźwignął je i z futrem przewieszonym przez ramię powlókł się naprzód bezsilny, ale zupełnie zbunt owany. Górna warga uniosła mu się w górę obnażając zęby w okrutnym uśmiechu zmęczenia.

Upał dosięgnął granic. Słońce zawisłe na połowie dziennej paraboli nie posuwa się teraz ani o jeden centymetr. Powietrze dławi. Błękitna opończa spowija głowy, przesłania oczy. Łagodny zaduch snuje się wokół jak niewidzialna wstążka.

Do końca kolumny, gdzie znajdują się Celestyn i babka, przypływają od czoła kaleki i starcy. Ci ostatni, o twarzach brunatnych, ginących wśród chust, przewiązek i tłumoków nałożonych wysoko na ramiona, patrzą spod nachylonych głów zmętniałymi oczami straszliwie prosto i tratują wszystko, co znajdują na drodze.

— *Halt!*

Szeregi wychodźców stają jakby ściągnięte cuglami i przez chwilę falują bezładnie. Po czym ruszają znowu i idą korytami coraz nowych ulic, coraz dalej i — coraz ciężej.

Nareszcie Celestyn upadł. Zdarzyło mu się to na Filtrowej: przewrócił się o końskiego trupa i legł w poprzek wzdętego brzucha zwierzęcia. Babka nie była do tego przyzwyczajona. Okoliczność ta przeraziła ją tym więcej, że przez chwilę zdawało się, jakby Celestyn nie miał ochoty wstać. Przyszła nań chwila takiej ciszy, poprzez którą, zda się, słyszysz skądś głosy zamarzłych w locie ptaków. Nie wiem, czy

mnie rozumiesz. Celestyn nie opadł z sił, bo siły opuściły go już dawno. Ale przerażająco nagle, w jednej chwili zbył się wszystkich posiadanych dopiero pragnień. Może pojął nareszcie, że nie wytrzyma tej drogi. Utracił tę dozę dzielności, która biegaczom podaje skrzydła, a nieszczęśliwym nadzieję — więc upadł.

Babką pochyliła się nad nim i szarpała go bezradnie za połę płaszczyka.

— Celestyn — wołała — na litość boską!

Celestyn podźwignął się jeszcze i podniósł swój ciężar.

— Zostaw to futro. Nie wytrzymasz!

— Dam radę, proszę pani — powiedział i przykrył się tym futrem. Sięgało prawie do ziemi.

— Boże miłosierny! — jęknęła babka i zdruzgotana zupełnie powlokła się za Celestynem. Robiła rozpaczliwe wrażenie. Zgubiła gdzieś grzebień przytrzymujący jej bujne włosy; siwe kosmyki zwieszały się wokół jej głowy, policzki się zapadły, zbladły i wyokrągliły się oczy. Przy tym chwyciły ją jakieś skurcze i rzucała głową na prawo i lewo, jakby opędzała się atakującym ją widmom.

Słońce nagłym przeskokiem zmieniło położenie i świeci teraz ukośnie w oczy. Wokół mdląca woń gnijącego owocu. Mijają zapuszczone ogrody...

...I Celestyn szedł. Szedł, mimo że wydaje się to niemożliwe. Babka przynajmniej była o tym przekonana. Lada chwila oczekiwała katastrofy. Katastrofa jednak nie nadchodziła. Ale samo jej oczekiwanie wyczerpało babkę do końca.

— Nie wytrzymasz — mamrotała. — Zgubisz mnie!

Celestyn szedł.

— Podły. O, jaki ty jesteś podły! Boże, czemuś nie ostrzegł mnie przed tym człowiekiem! Wychowałam cię, nakarmiłam, uczyłam cię pacierza jak własnego syna... I czymże byłbyś beze mnie? Łajdakiem, jak twój ojciec. Złodziejem! Ludzi z ciebie zrobiłam... O Boże! Gdzie on ma duszę?!

Celestyn pod wpływem przypominanych dobrodziejstw garbił się i kulił coraz bardziej. I stało się, że uwierzył słowom babki. Czy myślisz, że istnieje takie kłamstwo, któremu zdolni jesteśmy opierać się przez lat czterdzieści, jeśli jest ono jedyną skałą, którą nam dano do ręki? Nie zmierzysz dobra miarą grzechu — i dlatego Celestyn musiał uwierzyć słowom babki: pod ich wpływem w jego prostym sercu obrona tej jedynej na świecie, wyłącznej, najprawdziwszej własności urosła do rozmiarów niewybaczalnej nigdy winy!

Lecz cierpienie jest żyzną glebą: z niego rodzi się siła, młode kwiatko ślepe na oczy, zarzewie mądrej potęgi. Celestyn postanowił ocalić swój skarb. Miał do tego prawo. Rozumiesz — on musiał to uczynić.

Otóż i Dworzec Zachodni. Mieszkańcy z Kruczej schodzą na peron. Panuje tu ścisk i niepokój, nie ich jednych przecież przygnano tutaj. Za chwilę wszyscy odjadą ewakuacyjnym pociągiem do Pruszkowa, a potem...

Wtedy Celestyn postawił walizki na ziemi. Babka nie zaraz to spostrzegła. W chwilę potem rozległ się jej krzyk: „Celestyn, Celestyn!!" — ale zapadł ciężko w kłębowisko płaczu, nawoływań i świstu odjeżdżających wagonów.

III. CZŁOWIEK

CELESTYNA spotkałem więc po dziesięciu latach. Ale nie przywitałem go wtedy. Sądzę, że teraz rozumiesz lepiej moje motywy.

Byłem jej stryjecznym wnukiem...

Następnym razem wszakże, gdy jakieś podobne okoliczności zmusiły mnie do odwiedzenia tego ministerstwa, podszedłem do szatni i podałem mu płaszcz. Gdy odwiesił go na haku i podawał mi numerek, spojrzałem na niego z determinacją, która kazała patrzeć mu w oczy aż do ostatecznej rozprawy. Zmienił się trochę. A może nie zmienił się wcale, tylko jakoś zszarzał i zmalał. I jego dosięgła już starość. Do czasu powstania ten człowiek był wiecznym chłopcem na posługi, przeto nie docierały doń myśli o starości. W oczach krewnych i przyjaciół mej babki Celestyn nie mógł się zestarzeć — co najwyżej mógł się zużyć. Od czasu, gdy stał się człowiekiem (ach, nie posądzaj mnie o przesadę! — zdaje mi się, że nigdy te słowa nie miały tak dokładnego znaczenia) — więc od chwili, gdy stał się człowiekiem — zmalał i zszarzał. Zwiądł. A może to było złudzenie? Jakże paradnie wyglądał w tym szynelu o dwu rzędach srebrnych guzików, w szerokiej, za wielkiej czapie okrywającej jego wąską głowę!

Zdawało mi się, że mnie nie poznaje. Nie dziwiłem się temu. Od tamtej chwili przebiegłem szybko wiek młodzieńczy i doszedłem męskości. Zmieniłem się. Pamiętasz mnie z tamtych dni, gdy bawiłem się w ułana, dosiadając krzesła i strzelając do sióstr z dziadkowej laski? Byłem wątły i nieśmiały, podobny do dziewczynki raczej. Teraz — na przekór rosłemu rodzeństwu — i ja dognałem normę: kościec mam solidny, ramiona szerokie — nie dziwię się więc, że Celestyn nie poznał mnie w pierwszej chwili. Jednak przywarł do mnie spojrzeniem i potem rzvzykując zapytał:

— Pan Krzysztof?...

— Więc poznał mnie pan, panie Celestynie! — ucieszyłem się.

Kręcił głową dziwiąc się i niedowierzając jeszcze.

— Ale bo się pan zmienił. No, ale jak mogłem nie poznać! Nie tak to dawno. Ale dla pana to pewnie już kawał czasu?

— Kawał. Pan teraz tutaj pracuje? — zapytałem.

— Ano tak. Już cztery lata mija. Robię tu od samego początku, jak postawili ten gmach. Co ja innego potrafię?

— I jakże się panu wiedzie?

— Nie narzekam, jakoś mi się teraz szczęści. Już dwa razy dyplom dostałem. Przodownika ze mnie zrobili. Jaki ja tam przodownik? Palta podaję. Ale co to pana obchodzi...

— Można więc panu winszować...

— Roboty dużo, czasem do wieczora. Jak jaka konferencja. A — pan już skończył nauki?

Odpowiedziałem, że tak, że na razie mam spokój, że pracuję.

— Pan jest młody — odrzekł — to się panu tak zdaje, że ma już spokój. Do śmierci można się uczyć. Ja jestem teraz na kursie dla analfabetów, wie pan. Już kończę...

Skrzywił się, pokazując rzadkie zęby, jakby oczekiwał po mnie śmiechu z tej zabawnej wiadomości.

O, mój drogi, smutny to byłby śmiech. Nie zapomniałeś przecież, że był wychowankiem przełożonej szkoły.

Celestyn mówił znowu:

— Od przyszłego roku mam być umysłowym. Co im po takim umysłowym, ja ich się pytam. Nie dla mnie taka kolęda. Ale co, spróbuję, zobaczę.

Skoczył ku wieszakom i podał palto przechodzącemu urzędnikowi.

— To dyrektor B... — powiedział z odcieniem znawstwa w głosie. — No i pójdę. Jak mi się poszczęści — zostanę, a jak nie...

— Na pewno się poszczęści — zapewniłem go.

— A... jak pani Chabrowiczowa się miewa? Żyje jeszcze? — zapytał.

— Babka? A jakże. Trzyma się.

— Zdrowa? A jakże ona daje sobie radę?

— Musi — odpowiedziałem.

— Wszyscy muszą, to i ona musi. Bo jakem ją zostawił... oj, panie Krzysztofie, nagryzłem się, bo nagryzłem! Z początku po tym powstaniu to mi trudno było, człek niezwykły, ale lekko, tak lekko! A potem, kiedym sobie pomyślał — jak ona gdzie szczeźnie między ludźmi, taka zacna staruszka, to będzie przez ciebie. Wie pan... zawsze było mi jej jakoś żal. Taka zupełnie samotna kobieta. Alem się jeszcze o nią nie dowiadywał. Podły jest człowiek, no nie? Zły...

— A jak — zapytałem — z tym futrem? Nosi je pan jeszcze? Futro... Mój Boże! I po cóż wspominać ten czas pogardy, czas gnijącego owocu, po co powracać mu te chwile, od których oddalił się spiesznie ku nowym dniom, na które zasłużył całym swoim biednym życiem, które były teraz jego dniami, wielkimi dniami jego małego zwycięstwa!

— Futro? — rzekł. — Przecie to było lato. Jakem tylko zapodział się na tym dworcu, zostawiłem je na peronie. Pomyślałem sobie: i na co mi takie futro? Jesień ładna, dzień gorący...

Wytłumacz mi to, jeśli potrafisz

Stanisław Krzysztof Stopczyk

PRZED ŚWITEM

dzień".) Andrzejewski — nie mogąc pojąć, dlaczego jego bohaterowie m u s z ą umierać — protestuje nie tyle przeciw szczególnej przyczynie ich śmierci: faszyzmowi — ile przeciw wojnie i jej okrucieństwu w ogólności. I tutaj linia problematyki omawianych utworów przecina się z osią ideową „Matki Courage" Brechta. Punktem przecięcia jest pacyfizm.

Tragizm losów bohaterów „Nocy", a szczególnie „Popiołu i diamentu", został pogłębiony przez to, że lata wojenne są w tych książkach epoką zamkniętą — niby system logiczny. Nie ma z tych czasów wyjścia w przyszłość — zdaje się mówić Andrzejewski, odbierając nadzieję na wyrwanie się z koszmaru okupacji nawet najmłodszemu pokoleniu. Tu właśnie znajduje wytłumaczenie tytuł mojego szkicu: bohaterzy omawianych książek osamotnieni wśród nocy niewoli nie potrafią doczekać i przyjąć świtu lepszej przyszłości. Koniec wojny zbiega się dla nich często z kresem dotychczasowego życia, którego nie umieją rozpocząć na nowo, a czasami nawet z wygaśnięciem resztek człowieczeństwa.

Tego pesymistycznego obrazu nie zmieniają różnice zachodzące między tegorocznymi wydaniami „Nocy" i „Popiołu i diamentu", a poprzednimi ich edycjami. „Noc" została powiększona o jedno opowiadanie: „Synowie"; jego problematyka obraca się wokół bolesnej dla wielu rodzin, które straciły w czasie wojny swoich bliskich, niewiedzy, streszczającej się w pytaniu: gdzie ich pochowano — jeśli w ogóle to uczyniono. Pointa tego opowiadania jest równie pesymistyczna, jak i w innych utworach zawartych w tomie: rodzice nie odnajdują grobu swego jedynego syna — powstańca warszawskiego.

Natomiast cechy wyraźnego retuszu autorskiego posiada zmiana zakończenia wątku sędziego Kosseckiego w „Popiele i diamencie". Były sztubowy obozu koncentracyjnego nie obezwładnia Podgórskiego kazuistyczną obroną swego postępowania, lecz zostaje przez niego oddany w ręce sprawiedliwości. Przez taki retusz Andrzejewski chciał niewątpliwie „upozytywnić" wymowę „Popiołu i diamentu" — przechylić ją właśnie w stronę „diamentu". (Dzięki temu powstała zresztą, niezamierzona niewątpliwie przez autora, sprzeczność pomiędzy opisaną wyżej poprawką a zdaniem: Dałem w „Popiele i diamencie" akurat tyle, na ile mnie wówczas było stać, i z ręką na sercu mogę powiedzieć, że w stosunku do swoich możliwości nie dałem ani mniej, ani więcej — stanowiącym słusznie motyw przewodni przedmowy autora do obecnego wydania.) Decyzja Podgórskiego nie jest umotywowana, nie wypływa logicznie z jego dotychczasowego postępowania — jest raczej haraczem spłaconym przez Andrzejewskiego wielu krytykom „Popiołu i diamentu".

Kto wie zresztą, czy ta „nieokreśloność" narzucana wielu bohaterom omawianych książek, szczególnie zaś Szczuce, nie wypływa z ich samotności, z braku wystarczającego „obrzucenia" ich kontekstem społecznym. Andrzejewski bardzo oszczędnie dozuje relację o wewnętrznych przeżyciach swych bohaterów — zresztą mowa pozornie zależna ustępuje jako środek artystyczny w swej precyzyjności charakterystyce sytuacyjnej. Szczuka straciłby na pewno swą mało ludzką posągowość, gdyby został wyraźniej ukazany w wielorakich kontaktach i konfliktach z innymi ludźmi.

Podczas lektury „Nocy" i „Popiołu i diamentu" narzucały mi się rozliczne skojarzenia i porównania z prozą okupacyjną Adolfa Rudnickiego. Na ogół nie lubię metody krytycznej polegającej na przeciwstawianiu jednego pisarza drugiemu — oczywiście z podkreślaniem lepszości jednego z nich. Odstępuję jednak tutaj od tego zwyczaju, gdyż jestem przekonany, że Rudnicki posiada coś, czego brak w dużej mierze Andrzejewskiemu: zmysł historiozoficzny polegający na właściwej, realistycznej interpretacji czasów, które minęły. U Rudnickiego zaznacza się bardziej obiektywne, epickie spojrzenie na rzeczywistość okupacyjną, wydobycie w jej opisie trudno wyczuwalnych, ale jednak obecnych akcentów nadziei. U Andrzejewskiego na pierwszym planie jest tragiczny los człowieka zabłąkanego w mrokach okupacji, los, który zostaje przypieczętowany ostateczną klęską. Porównajmy chociażby opowiadania o Żydach Rudnickiego z „Wielkim Tygodniem" Andrzejewskiego. U Rudnickiego dzieje skazanego na zagładę narodu rozszczepione na liczne historie osobiste — u Andrzejewskiego właściwie dzieje tylko jednej Żydówki: Ireny Lilien. U Rudnickiego szereg konfliktów dzielących nie tylko Żydów i hitlerowców, Żydów i Polaków, ale i Żydów między sobą — u Andrzejewskiego jeden tylko konflikt Żydów z Polakami. U Rudnickiego wiele nieszczęść wielu ludzi — u Andrzejewskiego jedna tragedia jednego życia. Suma ludzkiego bólu i łez jest — faktograficznie rzecz biorąc — dużo większa u Rudnickiego aniżeli u Andrzejewskiego. A jednak w prozie autora „Żywego i martwego morza" widoczny jest nieśmiały uśmiech nadziei — w „Wielkim Tygodniu" przebija gorzki, ironiczny grymas zwątpienia.

I tu właśnie dochodzimy do sedna różnicy i istoty porządków filozoficznych Rudnickiego i Andrzejewskiego — epika i tragicznego nowelisty. Rudnicki zdolny jest do „wielkiej metafory" — do śmiałego, tchnącego optymistycznym humanizmem uogólnienia w swym pisarstwie „epoki pieców". Rudnicki potrafi rozpatrywać losy żyjących wówczas ludzi na płaszczyźnie wspólnego im człowieczeństwa. I dzięki temu właściwie syntetyzującemu spojrzeniu pisarza fragmenty prozy zawarte w tomie: „Żywe i martwe morze" są ułamkami epopei o ubiegłej wojnie na naszych ziemiach.

Andrzejewski nie jest w „Nocy" i „Popiele i diamencie" epikiem — jest nowelistą. Bo „Popiół i diament" jest właściwie także rozbudowanym zespołem wątków typowo nowelistycznych — o indywidualnych tragediach ludzkich istnień. Bohaterowie tych wątków samotnie próbują dotrzeć do sensu swej drogi poprzez lata okupacyjne i — nie docierają do niego. Zapatrzeni są w przeszłość, a nie w przyszłość — na sposób przeszłości ujmują teraźniejszość. I może dlatego nawet data 9 maja 1945 r. nie jest cezurą dzielącą jakoś ich życie na wojnę i zaraz po wojnie — oni w rzeczywistość nowej niepodległości wkraczają zapatrzeni w okupacyjną przeszłość, ujmując „dzisiaj" kategoriami „wczoraj".

Dlatego właśnie „Noc" i „Popiół i diament" są relacją o faktach — nie ich interpretacją. Tytuły tych utworów są „małą metaforą" określającą jedynie nastrój, który w nich panuje. Nie tylko bohaterowie tych książek są zaczadzeni okupacją, zarażeni śmiercią — ale również sam autor. I dlatego też d z i ś po lekturze „Nocy" i „Popiołu i diamentu" odczuwamy pragnienie rekapitulacji literackiej prawdy o latach 1939—45, dużo silniejsze — aniżeli wtedy, gdy się one ukazały.

Chciałbym na koniec wyjaśnić pokrótce genezę tego szkicu. Do ponownej lektury „Nocy" i „Popiołu i diamentu" zabrałem się po długim okresie, jaki upłynął od czasu ich pierwszego wydania. Zaczynałem ją z wielkim entuzjazmem, ciesząc się z góry na powtórzenie dużej skali wrażeń sprzed lat i zdobycie nowego materiału do refleksji. Odłożyłem książki z gorzkawym posmakiem niedosytu i rozczarowania. Z chęci zbadania jego przyczyny zrodziły się te refleksje.

Jan Parandowski na ostatnim zjeździe PEN-Clubu zaapelował do pisarzy współczesnych o wymierzenie pełnej sprawiedliwości zdarzeniom i ludziom ubiegłej wojny. Apel ten zaadresować można również do Jerzego Andrzejewskiego, do jego wielkiego, pisarskiego doświadczenia i talentu. „Noc" i „Popiół i diament" nie kończą bowiem — a przynajmniej nie powinny kończyć — rozrachunków ich autora z przeszłością okupacyjną. One je dopiero zaczynają...

Zbigniew Pędziński

WANDA PIEŃKOWSKA

PLASTYKA — sprawa do załatwienia

JEŻELI przyjrzymy się uważnie przebiegowi akcji upowszechniania kultury w naszym społeczeństwie, to wyniki jej w poszczególnych dziedzinach dadzą się chyba uszeregować tak, że na pierwszym miejscu trzeba będzie postawić muzykę, dalej literaturę, teatr, a na samym końcu — plastykę.

Sale koncertowe zdobyły już publiczność. Nie tu miejsce na ocenę — czy i jak wychowują nowego słuchacza. Ważne jest, że ludzie na koncerty chodzą i słuchają, że prawie przy każdym większym zakładzie pracy istnieje jakiś, choćby miniaturowy, zespół pieśni i tańca, jakiś chór, czy zalążek orkiestry. W tym masowym rozprowadzaniu muzyki dopomaga oczywiście i radio, nadając audycje, które zbliżają przeciętnego słuchacza do dzieł największej miary.

Ogromny rozwój czytelnictwa, bibliotek miejskich i wiejskich, niebywałe w swojej wysokości nakłady rozchodzących się natychmiast książek — świadczą, że i literatura zdobyła niepoślednie miejsce w życiu społeczeństwa.

Teatr, ten najłatwiej trafiający do mas środek upowszechniania kultury, miał stosunkowo łatwiejsze zadanie. Wystarczyło mu po prostu stanieć, wyruszyć w teren, słowem — otworzyć szeroko swoje drzwi, aby tłum spragnionych wtargnął do środka.

Na tym tle najgorzej, najnieporadniej poczyna sobie w dojściu do ludzi plastyka, będąca chyba sztuką najbardziej użytkową i na codzień. Czy przyczyna tego leży w jakiejś większej elitarności plastyki, większej trudności trafienia do przeciętnego odbiorcy? — Na pewno nie.

Zawiniły tu przede wszystkim fatalne tradycje drobnomieszczańskich gustów, które zagraciły mieszkania straszliwymi makatkami, figurynkami, poduszkami i oleodrukami, lub przejawiły się jako tęsknota i dążenie do tego właśnie rodzaju podpatrzonych „cudowności". Te gusty, a raczej ten brak gustu, pokutuje — powiedzmy to sobie szczerze — do dziś w niejednym domu, którego mieszkańcy chodzą już często do teatru, potrafią odróżnić Chopina od Beethovena i do codziennej strawy dołączyli, jako niezbędną witaminę porządną lekturę. Naturalna skłonność człowieka do ozdabiania swojego mieszkania znalazła po wsiach wyraz w nie zafałszowanym obcymi naleciałościami artyzmie wycinanek i prymitywów malarskich. W mieście — nie wyrobiony smak i ubóstwo masowego odbiorcy skazywały go na „upiększanie" domu tym, co było najtańsze i co się natrętnie samo napraszało, zachwalane przez domokrążców: zagranicznym oleodrukiem i wyczynami krajowych producentów kiczu.

Z drugiej strony winę za pozostawianie plastyki na tyłach upowszechniania kultury ponoszą ci, którzy nie doceniają wagi kształtowania smaku społeczeństwa w plastyce. Dopuszczają oni do panoszenia się nadal na rynku rzeczy tanich a serdecznie brzydkich i nie zatroszczyli się dostatecznie o udostępnienie prawdziwego piękna — odbiorcom, którzy w tej chwili w sprawach estetyki dnia powszedniego wymagają szczególnie wnikliwego pokierowania i wskazówek. Kto ponosi winę za to, że nadal panoszą się na rynku te szkaradoty i co gorsze, znajdują licznych i chętnych nabywców?

Mamy Centralne Biuro Wystaw Artystycznych. Mamy w Warszawie świeżo wszczętą akcję wystaw na peryferiach — akcję, która na pewno znacznie przyczyni się do zbliżenia plastyki niewyrobionemu widzowi. Mamy trzecią z kolei subskrypcję grafiki artystycznej i kilka wydanych przez „Sztukę" teczek artystycznych reprodukcji najlepszych malarzy polskich. Spełnił swoją rolę kiermasz sztuki z udziałem plastyków. Wszystko to jednak, choć jak najbardziej pożyteczne i celowe, nie spełnia nawet w części swojego zadania, ponieważ brak tu planowo pomyślanej i konsekwentnie przeprowadzonej akcji upowszechnienia plastyki od podstaw.

— Nasze ambicje rozbijają się o brak funduszów — powiedziano mi w Związku Plastyków — artyści są już przeładowani pracą społeczną i nie można od nich żądać, aby robili jeszcze więcej, bo skąd wezmą czas na twórczość i pracę zarobkową?

A od kogo zależne są fundusze?

— Od Ministerstwa Kultury, które zresztą wstawia proponowane przez nas sumy do budżetu, ale pozycji tych nie umie jakoś skutecznie bronić, wobec czego skreślenia dokonywane są zawsze naszym kosztem. A zmniejszenie funduszów obcina z kolei nasze szerokie plany.

Plany Związku Plastyków obejmują między innymi tanie wydawnictwa popularno-naukowe w rodzaju: „Jak patrzeć na obraz", czy też broszurki traktujące o poszczególnych technikach; dalej — projekty utworzenia w każdym mieście wojewódzkim przynajmniej jednej stałej sali wystawowej, a w miastach powiatowych — sal nadających się do użytku wystaw objazdowych. Poza tym przewidywane jest puszczenie w teren większej ilości autobusów-wystaw, które obsługiwałyby spółdzielnie produkcyjne i PGR-y wożąc oryginały mniejszych wymiarów i grafikę, ponieważ plastycy uważają — że smak należy wyrabiać nie na reprodukcjach. Inicjatywą równie godną pochwały jest projekt wyjścia z plastyką na ulicę, czyli urządzanie corocznych kiermaszów, organizowanych na wzór kiermaszów książki, przy udziale artystów sprzedających osobiście swoje dzieła.

— Dobrze, ale to wszystko nie jest jeszcze uderzeniem w samo sedno zagadnienia. To nie sięga do podstaw. Czy nie należałoby w szkołach...

— Otóż to. Mamy nadzieję rozwiązać wreszcie i tę sprawę. Przecież dotychczas lekcje rysunku w szkołach podstawowych i ogólnokształcących prowadzone są przeważnie przez ludzi z minimalnym wykształceniem plastycznym, a bardzo często — przez nauczycieli gimnastyki. Można sobie wyobrazić, co z tego wynika. Projektuje się więc wprowadzenie obowiązkowego nauczania rysunku odręcznego pod kierunkiem wyłącznie zawodowych platyków.

No tak, to byłby ten początek. Ale co dalej?

W Ministerstwie Kultury poddano mi zupełnie zdecydowane sugestie: film, radio, prasa. Słusznie. Film powinien rozpowszechniać krótkometrażówki o plastyce. Radio, które tak skutecznie bierze udział w upowszechnieniu literatury i muzyki — o plastyce — milczy. Popularne recenzje z wystaw, stałe i atrakcyjne omówienia jakichś zagadnień plastycznych byłyby chyba możliwe? Pozostaje prasa. Nie tygodniki, które docierają do węższych kręgów odbiorców, ale prasa codzienna, czytana przez wszystkich. Konkursy, których rozwiązanie zależałoby od pójścia na daną wystawę, więcej artykułów problemowych i popularyzacyjnych z zakresu plastyki, to wszystko pomogłoby w jej upowszechnianiu.

Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych zorganizowało w Nowej Hucie akcję odczytów ilustrowanych przezroczami. Wyniki są rzeczywiście bardzo dobre.. Po początkowej słabej frekwencji akcja wciąga nowych, zapalonych widzów-słuchaczy. Skoro już jesteśmy przy przezroczach, to warto zwrócić uwagę zakładów pracy, że Państwowy Zakład Fotoprzezroczy ma szereg filmów z dziedziny sztuki, a aparat rzutnikowy do nich kosztuje tylko 250 złotych. PZF chętnie udostępnia nie tylko filmy, lecz służy też pomocą i wskazówkami, a nie trzeba chyba wiele mówić o tym, jak wielkie znaczenie w wychowaniu plastycznym mas miałaby taka akcja podjęta na szeroką skalę przez wszystkie zakłady pracy.

Ale nawet spełnienie wszystkich, wysuniętych tu, postulatów jeszcze nie rozwiąże zagadnienia w zupełności. Ludzi trzeba związać z plastyką bardziej osobiście, trzeba zaangażować ich uczuciowo. I dlatego za najważniejszy środek oddziaływania uważam przede wszystkim tworzenie małych „zespołów plastycznych" przy zakładach pracy, a po drugie — zwiększenie ilości ognisk plastycznych na terenie całego kraju.

Pracą zespołów plastycznych powinni opiekować się instruktorzy z Domów Kultury, którzy umieliby wyłowić ludzi uzdolnionych, dać im jakieś podstawowe wiadomości z zakresu malarstwa, historii sztuki i dopomogli im w rozwoju plastycznym w sensie praktycznego wykorzystania swoich zamiłowań i zdolności.

A ogniska?

Wśród stukilkudziesięciu osób, które regularnie przychodzą na wykłady i ćwiczenia praktyczne do pracowni plastycznej Domu Kultury Związków Zawodowych są inżynierowie, robotnicy, pracownicy Służby Zdrowia, tramwajarze, drobni urzędnicy, mechanicy — przekrój wszystkich warstw społeczeństwa.

— Nasza pracownia nie ma ambicji uczynienia z każdego amatora wielkiego malarza — powiedział prof. Jagodziński. Nie jest to też wcale zadaniem ognisk plastycznych. Nam chodzi o to, aby wyrównać dysproporcję istniejącą u wielu ludzi pomiędzy wykształceniem ogólnym i zawodowym, a nawet wiadomościami z zakresu innych dziedzin kultury — a plastyką. Chcemy u każdego, kto czuje zamiłowanie do malarstwa rozwinąć zdolności w kierunku, który jest dla niego najbliższy i chcemy wszystkim dać ogólne pojęcia o zasadach sztuki. Do każdego trzeba też podejść indywidualnie. Nie mamy więc sztywnych kursów, jednolitej metody nauczania. Chcemy, aby plastyka — choć w takim stopniu, jak to się dziś już zaczyna dziać z dobrą muzyką — dotarła do jak najszerszych warstw...

I tu dochodzimy do sedna zagadnienia. Ogniska plastyczne dlatego spełniają tak ogromną rolę w upowszechnianiu kultury, że gromadzą w swoich pracowniach ludzi wszystkich zawodów — ludzi, którzy, odpowiednio przygotowani, stają się pionierami plastyki w swoich zakładach pracy i w swoim środowisku.

Na to jednak, aby ogniska plastyczne zaczęły spełniać swoją rolę w tych rozmiarach, w jakich mogą i powinny — potrzeba kilku warunków. Po pierwsze sieć ich musi się wydatnie rozszerzyć. Poza tym konieczny jest stały kontakt ognisk z wybitnymi plastykami (na to, oczywiście, potrzebne są fundusze). Za przykład może tu służyć warszawski Dom Kultury Budowlanych, który z własnej inicjatywy nawiązał ścisłą współpracę ze Związkiem Plastyków uzyskując opiekę w postaci pogadanek i atrakcyjnych spotkań amatorów z zawodowcami. Wreszcie — ogniska powinny być wyposażone w oryginały współczesnych dzieł sztuki, co jest rzeczą zupełnie możliwą do przeprowadzenia, ponieważ Min. Kultury posiada zasób depozytów, które mogłyby krążyć z jednego ogniska do drugiego.

Tych kilka ogólnych uwag o całokształcie upowszechniania plastyki, rzecz prosta, nie wyczerpuje zagadnienia. Plastyka wciąż jeszcze jest u nas sprawą do załatwienia. Bo dopiero wtedy, gdy w każdym zakładzie pracy znajdzie się przynajmniej jedna osoba, dla której estetyczne przybranie świetlicy nie będzie zagadnieniem nie do rozwiązania, gdy wśród zgromadzonych przypadkowo robotników można będzie bez trudu znaleźć kogoś, kto będzie umiał z sensem oprowadzić wycieczkę po wystawie malarskiej — dopiero wtedy będziemy mogli powiedzieć, że kampania upowszechniania kultury plastycznej została wygrana. Bo dopiero wtedy sprawa przeciągnięcia na stronę prawdziwego piękna większości społeczeństwa stanie się już tylko kwestią czasu.

Wanda Pieńkowska

Stefan Rassalski — Kazimierz n/Wisłą

Zamieszczona na tej stronie jak i na stronie trzeciej grafika została wybrana z III Subskrypcji Grafiki Artystycznej.

Drzeworyt M. Jurgielewicza

MACIEJ CZERNIEWSKI

Z TEATRÓW WYBRZEŻA

Przede wszystkim REŻYSER

W ostatnim kwartale 1954 r. Państwowy Teatr „Wybrzeże" wystawił, jak zwykle prawie równocześnie, trzy premiery: w Sopocie T a k i e c z a s y *Jurandota*, w Gdańsku P a n n ę b e z p o s a g u Ostrowskiego, w Gdyni M a z e p ę *Słowackiego*, a więc repertuar ciekawy i różnorodny.

Repertuar stanowi w ogóle mocną stronę tego teatru. Często sięga się tu do pozycji dramaturgicznych nie wystawianych jeszcze na naszych scenach lub wznawia się sztuki od lat nie grane i mało znane. Wymienić należy z ostatniego okresu choćby polską prapremierę B a r b a r z y ń c ó w Gorkiego, T r a g e d i ę o p t y m i s t y c z n ą Wiszniewskiego, graną po raz drugi w Polsce czy N o r ę Ibsena, wystawianą u nas ostatnio około 20 lat temu.

Niejednokrotnie i realizacja tego repertuaru staje się interesującym wydarzeniem artystycznym. Oglądamy na Wybrzeżu przedstawienia bardzo dobre i bardzo ciekawe, przedstawienia artystycznie jednolite i odkrywcze. W spektaklach, które nie posiadają tej jednolitości i które nie są pozycjami najlepszymi, można jednak wyróżnić ciekawą robotę aktorską któregoś z wykonawców czy interesujące walory ujęcia scenograficznego. Oczywiście, nie o to chodzi w teatrze, gdyż nadrzędną sprawą jest całość przedstawienia i ona dopiero wpływa na kształtowanie się oblicza teatru, ale mówię o tym dla podkreślenia, że wielu mamy na Wybrzeżu zdolnych ludzi, którzy mogliby tworzyć naprawdę dobry teatr.

Niestety, teatr „Wybrzeże", jak w ogóle większość teatrów w Polsce, nie posiada jednolitego nurtu artystycznego. Poważną przeszkodą w ukształtowaniu się sceny o swoim własnym wyrazie jest na tym terenie podział zespołu na trzy grupy — o coraz to innym składzie — stanowiące obsady opracowywanych równocześnie trzech premier. Zespół, który podczas kilkumiesięcznej pracy uzgodni wspólny punkt widzenia na wiele zagadnień artystycznych, nie spotyka się na ogół przy następnej sztuce w tym samym gronie i nie może kontynuować wspólnych doświadczeń. Ale znacznie poważniejszą przeszkodą są ustawiczne zmiany kierownictwa artystycznego. Obecnie opuściła Wybrzeże Lidia Zamkow, która zaledwie rok była na tym stanowisku. Jeśli ta placówka nie uzyska na dłuższy okres czasu kierownika o rzetelnym stosunku do spraw sztuki, na marne pójdą sporadyczne dążenia do stworzenia jednolitego artystycznie teatru na Wybrzeżu.

TAKIE CZASY

W turze sztuk obecnie granych — T a k i e c z a s y i P a n n ę b e z p o s a g u trzeba uznać za spektakle zaledwie poprawne, nie wzbogacające dorobku artystycznego Wybrzeża pod względem jakości. Chociaż współczesny teatr w pełni docenia ważność i nadrzędność reżysera w tworzeniu przedstawienia — reżyserzy obydwóch sztuk nie wykorzystali tego przywileju i nie nadali swym realizacjom indywidualnego piętna.

W T a k i c h c z a s a c h na Wybrzeżu nie wyczuwa się pewnej ręki reżysera. Przedstawienie nie posiada rytmu jednolitego, nie stanowi harmonijnego nurtu komediowego. Wykonawcy niektórych ról przechylają się niesłusznie w kierunku farsy, inni grają serio i nazbyt ciężko, na skutek czego nie mieszczą się w wymiarze komediowości.

Reżyser Hugon Morycliński zgodził się na ryzykowny sposób podkreślania przez kilku aktorów charakterystyczności za pomocą środków głosowych, ale nie dopomógł im w przeprowadzeniu tego na przestrzeni całej sztuki i pewne niekonsekwencje w operowaniu głosem stanowią niemiłe zgrzyty. Poza tym reżyser nie wydobył w pełni humoru, dowcipów słownych, zawartych w dialogach.

Najtrafniej, z poczuciem umiaru i z zabarwieniem ciepłego humoru uchwycił ton komedii Jurandota T a d e u s z G w i a z d o w s k i, grający dyrektora Zielińskiego. W utrzymaniu konsekwentnej komediowej linii przeszkadzała Gwiazdowskiemu jego partnerka — żona bohatera (Z o f i a M a y r). Dorota w sztuce rzeczywiście odcina się od pozostałych postaci ustawieniem satyrycznie ostrzejszym i wyrazistszym, ale mieści się w ramach komedii i nie zahacza o inny gatunek literacki.

Przy takim ustawieniu tej roli dziwnie brzmią też sceny między Skupieniem i Dorotą, zwłaszcza zaś zbyt spokojną wydaje się reakcja stołecznego literata na aż tak daleko posuniętą i w takiej formie wyrażoną agresywność głupiutkiej żony prowincjonalnego kolegi.

Oprawa scenograficzna R o m a n a B u b i e c a również nie jest mocnym punktem przedstawienia. Autor dekoracji nie postarał się nadać swym wnętrzom komediowych odcieni, czy to drogą dowcipu plastycznego, czy za pomocą opisowości, ani też nie określił nimi postaci sztuki.

PANNA BEZ POSAGU

P odobnie jak w wypadku T a k i c h c z a s ó w, za nieskrystalizowaną linie P a n n y b e z p o s a g u na scenie gdańskiej mamy pretensje do reżysera, który ponosi odpowiedzialność za ostateczny kształt przedstawienia.

Już począwszy od P o r t r e t u r o d z i n y (pierwszej do końca doprowadzonej komedii) kusi Ostrowskiego, malarza życia obyczajowego swego narodu, problem współczesnego mu środowiska kupców rosyjskich. Zagadnienie to urasta poprzez utwory Ostrowskiego do wielkiego studium psychologicznego. P a n n a b e z p o s a g u, jeden z ostatnich dramatów Ostrowskiego, toczy się w kręgu burżuazji rosyjskiej przeradzającej się już w społeczną potęgę.

Pisarz bierze na cel wszechmocnych na swym terenie ludzi pieniądza wiążąc z ich losami tych, którzy pieniędzy nie posiadają.

Reprezentantów świata posiadaczy z P a n n y b e z p o s a g u łączy zgodny stosunek do wszelkich wartości życia, jako do towaru. Nawet w swym życiu intymnym posuwają się do transakcji, równych swą drapieżnością i cynizmem tym, które bez skrupułów stosują dla zwielokrotnienia majątku.

Kluczowym momentem sztuki jest scena losowania o nabycie praw do Larysy. Reżyser Łazarz Kobryński nie podkreślił teatralnymi środkami ważności tej sceny i podobnie jak inne dialogi Knurowa z Wożewatowem, jest ona zamazana i nudna.

W trójcy potentatów pieniądza Siergiej Siergiejewicz Paratow w wykonaniu Jerzego Śliwy najbliższy jest syntetycznego ujęcia aktorskiego. Wiele cech Paratowa udało się Śliwie artystycznie przełożyć na środki sceniczne i nadać im o dreszcz przyprawiający posmak cynizmu. Natomiast zabrakło Śliwie tak charakterystycznych dla Paratowa szerokości natury i rozmachu.

Na pograniczu tych dwóch światów — kupujących i kupowanych — stoi matka Larysy, Ogudałowa. Wprawdzie materialnie należy do tej drugiej grupy, ale ponieważ była kiedyś bogata, aprobuje istniejący stan rzeczy jako konieczność. Sama nadzwyczaj umiejętnie przystosowała się do swego położenia, trudniąc się po mistrzowsku „sprzedawaniem". Halina Cieszkowska konsekwentnie przeprowadziła linię postaci, lecz niepotrzebnie nadużywała środków aktorskich w mimice i geście.

W P a n n i e b e z p o s a g u w roli aktora Robinsona widzieliśmy Bogumiła Kobielę. Zdolności komiczne Kobieli uczyniły z Robinsona to, czym być powinien, komika służącego za rozrywkę tym, którzy za niego płacą. Natomiast na skutek małego jeszcze doświadczenia wykonawcy nie uwydatniły się w roli rysy wypaczonego długim i smutnym życiem człowieka, który uzbrojony w cyniczną filozofię, myśli tylko o najwygodniejszym dla siebie miejscu na świecie, zapominając o swej ludzkiej godności.

Reżyser nie dopomógł Kalinie Jędrusik, młodej aktorce grającej tytułową rolę, skomponować rozwoju owej linii i postaci poprzez cztery akty sztuki. Na skutek tego jednostajny rytm życia wewnętrznego Larysy nie daje rozpiętości jej wzruszeń i przeżyć. W tej jednostajności nie uwydatniają się napięcia tragiczne postaci.

Edward Raczkowski słusznie szukał odpowiedniego wyrazu dla roli Karandyszewa poprzez ostrą groteskę, chcąc połączyć tragizm tego nieszczęśliwego człowieka z jego śmiesznością. Złymi jednak posłużył się środkami aktorskimi i nie uzyskał pożądanego efektu. Zmechanizowanie ruchów i nadanie im jakiegoś kukiełkowego rytmu oddaliło go od prawdy i przytłumiło tragizm doprowadzonego w trzecim akcie do rozpaczy człowieka.

Za większość wymienionych tu błędów odpowiedzialny jest reżyser, gdyż brak jasnej koncepcji inscenizacyjnej nie mógł się nie odbić na grze aktorów.

MAZEPA

I nscenizacja Mazepy jest najciekawszą pozycją w obecnej serii sztuk na Wybrzeżu. Bogate są dzieje tej tragedii Słowackiego w ostatnim dziesięcioleciu. Jej inscenizacje w Krakowie, we Wrocławiu i w Stalinogrodzie wywołały na łamach czasopism ożywione dyskusje. O ile przedstawienie krakowskie było jeszcze kontynuacją dawnego stosunku teatrów do repertuaru romantycznego, przynajmniej w ujęciu reżyserskim i scenograficznym, to począwszy od przedstawienia wrocławskiego zaczęto przełamywać napór tradycji, próbować nowego spojrzenia, szukać nowoczesnych rozwiązań.

W tym samym kierunku poszedł Zdzisław Karczewski na Wybrzeżu, nawiązując przede wszystkim do osiągnięć inscenizacji w Stalinogrodzie. Karczewski nie trzymał się niewolniczo wskazówek zawartych w tekście sztuki, lecz omijał je tam, gdzie stanowiły przebrzmiały już może rodzaj efektów dla dzisiejszego widza. Tak zrezygnowano w akcie pierwszym z wyjmowania ściany w celu pokazania iluminowanego ogrodu. Również ominięto — podobnie jak w Stalinogrodzie — zamurowanie alkowy w trzecim i rozwalanie na oczach widzów ściany w czwartym akcie. Kontynuując linię „Teatru Śląskiego", teatr „Wybrzeże" starał się przełamać pozostałości dawnych koncepcji koturnowych, przy zachowaniu tego, co tradycja trafnie wypracowała.

Już w 1932 r. Karol Adwentowicz wskazał słuszną linię dla interpretacji Wojewody, kładąc główny nacisk na jego niepohamowaną dumę i pasję. I czyniąc go ludzkim i prawdziwym. Obecna inscenizacja na Wybrzeżu poszła w tym samym kierunku. Jerzy Przybylski stosowanymi zewnętrznie środkami daje Wojewodzie olbrzymi ładunek wewnętrznej pasji, przyjmując za główny motor jego działania dumę, a choć bohater w tym ujęciu daleki jest od „koturnowego" stylu interpretacji, ukazuje cały rozmach „czerepu rubasznego".

Najcięższym do niedawna problemem Mazepy była sprawa Amelii i Zbigniewa. Zbigniewa obarczano cechami byronicznego bohatera i interpretowano często z niezrozumiałym deklamatorstwem. Tymczasem drogą przemyślenia warunków, jakie kształtowały życie Wojewodzica, udaje się już dzisiaj teatrom nadać mu prawdę młodości, sugestywność uczuć i pozbawić go monolitycznej maski cierpiętnictwa. Powiodło się to osiągnąć Jerzemu Gołińskiemu w gdyńskim przedstawieniu. Zwłaszcza dużo świeżości i wyrazu posiada scena Amelii i Zbigniewa na wieży. Gołiński nie popadając w patos mocno zarysowuje szamotanie się Zbigniewa wśród sprzecznych uczuć.

Amelia (Anna Gołębiowska), mając wiele bardzo dobrych momentów, była za mało wydobyta przez reżysera w całości przedstawienia. Trudno się również zgodzić z ustawieniem sceny między Amelią i Królem. Amelia nie okazałaby w formie tak drastycznej gniewu i obrażonej dumy. Interpretacja roli Króla przez Zdzisława Karczewskiego, choć można się sprzeczać co do poszczególnych jej faz, jest niewątpliwie rewizjonistyczna. Lekkość i finezyjność Mazepy nie leżą w zasięgu możliwości aktorskich Zygmunta Hobota, choć jest on dobry jako Mazepa „na serio". Przez brak tamtych pierwiastków nie stanowi postać pazia barwnej plamy w przedstawieniu, a tak nakreślił ją jednak w dramacie Słowacki.

Na skutek błędnego ustawienia pierwszych scen nastrój przedstawienia jest za mało zróżnicowany. Zatarła się gradacja od prawie komediowego wstępu aż po stopniowo narastającą makabryczną tragedię. Budzi również zastrzeżenia sposób mówienia wiersza. Niesłuszne jest pomijanie na rzecz prostoty wyrazu takiego waloru Mazepy, jakim jest poezja Słowackiego. Należy połączyć jedno z drugim. Dekoracje Feliksa Krassowskiego w swej syntetycznej formie sugestywnie wyrażały pustkę i zimną wyniosłość zamku. Taka architektura pozwalała uchwycić właściwy nastrój tragedii.

*

Obecnie na Wybrzeżu na warsztacie teatralnym znajdują się Grzech Żeromskiego, Turcaret Lesage'a i Pan Puntilla i jego sługa Matti Brechta. Repertuar ten, a zwłaszcza ostatnia z wymienionych pozycji, jako prapremiera w Polsce, wzbudzi zapewne duże zainteresowanie.

Na zakończenie należałoby życzyć teatrowi, aby jak najszybciej otrzymał nowego kierownika artystycznego, na którego oczekuje od chwili odejścia z Wybrzeża Lidii Zamkow. I aby nowy kierownik podjął prace na Wybrzeżu ze świadomością ważności tej placówki kulturalnej, której spektakle bywają niekiedy jedyną podstawą, na której opiera się sąd zagranicznych gości o polskim teatrze.

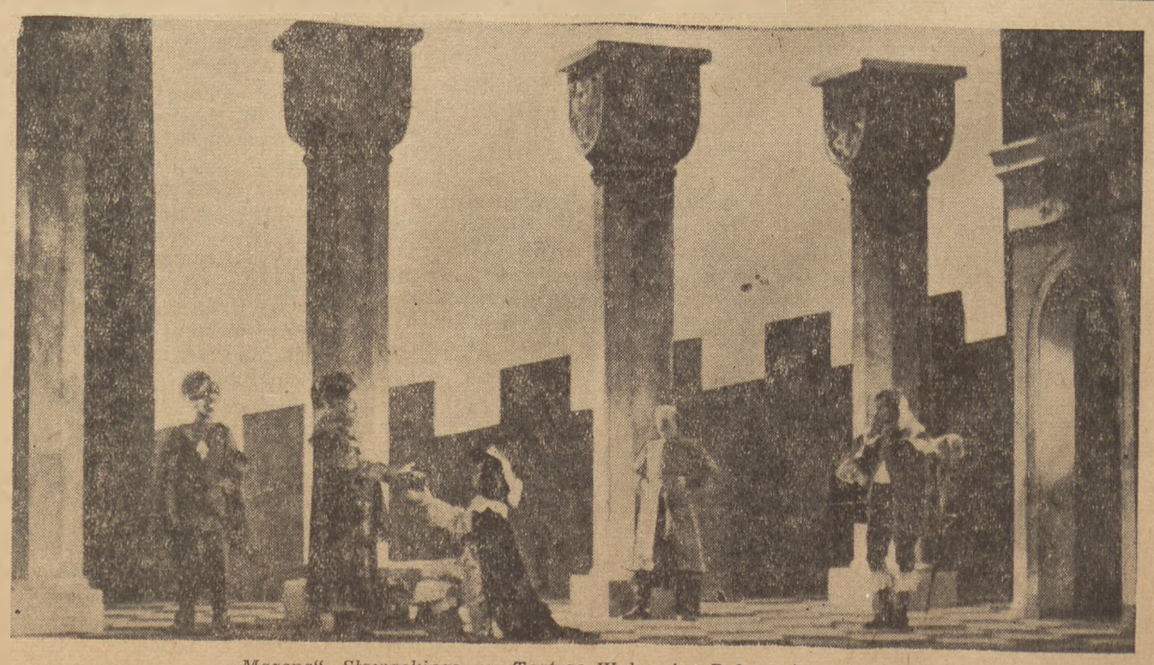

„Mazepa" Słowackiego w Teatrze Wybrzeże. Dekoracje II aktu.

JESZCZE O MUZYCE WSPÓŁCZESNEJ

ARTYKUŁ Jana Kowalskiego, umieszczony w „Dziś i Jutro" w numerze z dn. 21.XI: „W poszukiwaniu straconego odbiorcy" dał mi dużo do myślenia i pobudził do zabrania głosu w dyskusji. Zaczynam od sprecyzowania różnicy, jaka zachodzi między muzyką tzw. dawną, a nowoczesną, jakkolwiek oba te terminy nie dają właściwego pojęcia o istocie obu tych rodzajów muzyki. Sądzę więc, że lepiej będzie używać terminów, ustalonych przez muzykologów, którzy muzykę dawną nazywają tonalną, zaś nowoczesną atonalną. Wprowadza nas to od razu w sedno rzeczy. Wiadomo bowiem, że muzyka tonalna opiera się na konsonansie, zaś atonalna na dysonansie. Wiemy również, że konsonans panował wszechwładnie nie tylko przez stulecia ale i dziś jeszcze nie został zdetronizowany. Świadczy o tym najlepiej wciąż trwający kult mistrzów, klasyków i romantyków: Bacha, Beethovena, Mozarta, Haydna, Schuberta czy Schumanna, a nawet ich poprzedników jak Gluck, Scarlatti czy Rameau. Dowodzi to siły żywotnej muzyki tonalnej a co za tym idzie niesłabnącego działania konsonansu, jako podstawowej, macierzystej komórki. Stąd wysnuwa się wniosek, że tak ugruntowana muzyka odpowiada wrodzonym ludzkim skłonnościom i ucho nie potrzebuje się z nią oswajać.

Po tym wyjaśnieniu biorę za punkt wyjścia swe własne przeżycia. Kojarzą się one bowiem z dalszym ciągiem mych wypowiedzi. Po raz pierwszy zetknęłam się z muzyką atonalną, słuchając w Filharmonii Warszawskiej „Symfonii Domestica" Ryszarda Straussa. Dzieło to wywarło na mnie wrażenie przygnębiające. Nie byłam w stanie uchwycić rozczłonkowanej na masę motywów melodii, przytłoczonej dysonansami. Wróciłam do domu z bólem głowy i przeświadczeniem że „Symfonia Domestica" powinna nosić tytuł „Symfonia Infernalis".

Pomimo to postanowiłam w dalszym ciągu słuchać muzyki atonalnej, by nie polegając na pierwszym wrażeniu — lepiej ją poznać. W tym celu wybrałam się na operę „Król Roger" Szymanowskiego, licząc na to, że opery są łatwiejsze i przystępniejsze niż symfonie. Ale i tym razem wyniosłam wrażenie ujemne. Gdy z kolei ani IV Symfonia, ani Koncert Skrzypcowy tegoż kompozytora nie pomogły mi w zrozumieniu muzyki atonalnej zrezygnowałam z mych wysiłków w przekonaniu, że nawet moje studia muzyczne, oparte na tonalności (a może właśnie dlatego?) nie mogą mi pomóc. Aż wreszcie w jednej z krytyk kompozytora Niewiadomskiego znalazłam potwierdzenie swej odporności. Niewiadomski tak określa muzykę atonalną: „Istnieje ona po to, by człowiekowi dokuczyć"... Niebawem wyłowiłam z „Allgemeine Musikzeitung" następującą wzmiankę. Do Hindemitha zwrócił się kiedyś jeden ze znanych muzykologów niemieckich z pytaniem: „Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan się posługuje atonalnością? Przecież pan ma prawdziwy talent"... Powyższa swoiście wyrażona opinia, pochodząca od fachowca, nie wymaga komentarzy. Najbardziej jednak miarodajna i przekonywająca jest ocena Prokofiewa, zaczerpnięta z jego artykułu: „O mojej twórczości", wydrukowanego w dwutygodniku „Ruch muzyczny" (rok 48 czerwiec 11-65). Przytaczam tu najważniejsze wyjątki:... „Siła i żywotność wszystkiego, co stworzyli wielcy kompozytorzy muzyczni polega na tym, że ich utwory były zawsze rozumiane i bliskie narodowi. Bezsprzecznie zawiniłem atonalnością, choć pociąg do tonalności miałem od dawna, zwłaszcza, gdy zrozumiałem, że budowla utworu tonalnego jest budowlą na solidnych fundamentach, zaś atonalna jest budowlą na piasku. Ponadto muzyka tonalna i diatoniczna daje o wiele więcej możliwości, niż atonalna i chromatyczna, co widać szczególnie na Schoenbergu i jego naśladowcach, którzy się zapędzili w ślepy zaułek".

Na zakończenie nawiązuję jeszcze do artykułu Jana Kowalskiego — do jego wzmianki o „Eroice" Beethovena, którą autor uważa za trudną, wymagającą osłuchania z łatwiejszymi utworami tegoż kompozytora. Otóż dynamika uczuciowa Beethovena znalazła w „Eroice" wyraz tak mocny, że trafia on od razu do każdego. Świadczy o tym fakt, który miał miejsce w okresie wojen napoleońskich. W Paryżu, w sali koncertowej grano „Eroikę". Wśród zebranej publiczności podniósł się nagle z siedzenia jeden z wiarusów napoleońskich i krzyknął: „C'est l'Empereur — vive l'Empereur". Tak oto zareagował człowiek „nieprzygotowany"... Oczywiście — w muzyce tonalnej istnieją dzieła łatwe i trudne. Do tych ostatnich należą np. I i II symfonia Beethovena. Na zakończenie muszę w imię sprawiedliwości zaznaczyć, że talent Karola Szymanowskiego zabłysnął w całej pełni w 2-ch utworach tonalnych: w balecie „Harnasie", opartym na rytmie podhalańskim i związanych z nim motywach — a więc o charakterze narodowym, oraz w pięknej dramatycznej „Etiudzie b-moll". Dowód to, że charakter narodowy najpiękniej i najswobodniej się wypowiada w muzyce tonalnej. Stwierdzić to również możemy na twórczości naszych współczesnych kompozytorów: Witolda Lutosławskiego i Feliksa Rybickiego.

Irena Laskowska

Z przyjemnością przeczytałem odpowiedź Pani na mój artykuł, bo zawsze przyjemnie jeśli wywoła się jakiś oddźwięk u czytelnika. Z równą gorliwością postaram się obalić Pani zarzuty.

Pierwsze zastrzeżenie: jacy to muzykolodzy muzykę dawną nazywają tonalną, a nowoczesną — atonalną? Na epitet atonalności zasłużyła w pełni (i to właśnie w oczach muzykologów) jedynie twórczość Schoenberga i jego szkoły, przekreślająca całkowicie system ośmiotonowy i zastępująca go skalą dwunastotonową. Co więcej, ta atonalna muzyka Schoenberga bardzo jest daleka od chaosu i przypadkowości, kojarzących się z pojęciem atonalności — opiera się na logicznej, czysto matematycznej konstrukcji; jest wyprana z wszelkiej emocji i stąd jej powszechna niezrozumiałość.

Atonalizm, o którym Pani pisze, to z pewnością nie ten schoenbergowski (bo Schoenberg jest grywany nawet na Zachodzie bardzo rzadko, a przypuszczam, że w Polsce jego muzyka nie była nigdy wykonywana). Nazwą atonalizmu określa publiczność koncertowa muzykę o wiele mniej bezkompromisową i krańcową. Muzyka ta wykorzystuje współbrzmienia, które konwencja XIX wieku określa nazwą dysonansu; odkrywa nowe możliwości dźwiękowe tkwiące w tym materiale.

Bardzo wielu z powszechnie dziś uznanych klasyków za życia wzbudzało protesty i gwizdy sali koncertowej. Opery Mozarta nazywano we Włoszech niemieckim wyciem; harmonika Beethovena była dla ówczesnego Wiednia czymś bardzo nowatorskim; Chopin był największym rewolucjonistą; chromatyka Wagnera, czy instrumentacja Berlioza — to wszystko budziło wrzenie wśród publiczności i krytyków. A kto by dziś zakwestionował wielkość Chopina czy Wagnera. Muzyka Wagnera nie odpowiadała „wrodzonym ludzkim skłonnościom", ale nie sądzę, żeby projektowane wystawienie Lohengrina przez Operę Warszawską skończyło się niepowodzeniem wśród publiczności. Cała historia XIX-wiecznej muzyki to w pewnym sensie ewolucja smaku; przemiana i wzbogacenie pozornie „wrodzonych ludzkich skłonności".

Z pewnością żaden okres w historii muzyki nie przyniósł jej tyle eksperymentów co ostatnie 50-lecie; wydaje się jednak, że z tych eksperymentów, często radykalnych i obracających się wyłącznie w kręgu warsztatu kompozytorskiego wyłania się już dziś muzyka, która bynajmniej nie rezygnuje z nowatorstwa i całych doświadczeń ostatnich dziesięcioleci — zdobywa sukcesy i swoim ciężarem gatunkowym dorównuje najlepszym dziełom przeszłości. Olbrzymi sukces *Koncertu na Orkiestrę* Lutosławskiego to dobry przykład, że powodzenie niekoniecznie zdobywają utwory eklektyczne. Późne kompozycje Honnegera (jak wykonana niedawno w Krakowie wspaniała *Symfonia Liturgiczna*), Bartoka czy Hindemitha — czy kwestionowanie wartości takiej muzyki nie byłoby ignorowaniem prawa rozwoju całej sztuki i zasklepieniem się w słodko brzmiących, powtarzanych w nieskończoność frazach klasyków. Cytuje Pani sąd Niewiadomskiego — historycy od dawna ustalili gradację, jaka istnieje między pozycją tego kompozytora w muzyce polskiej, a olbrzymią doniosłością muzyki Szymanowskiego, o której wyraża się Pani tak krytycznie. Nawiasem mówiąc te dwa przytoczone przez Panią utwory, w których „zabłysnął w całej pełni Szymanowski" — czy to nie małe nieporozumienie? Popularna prawie na równi z Chopinem dość jeszcze konwencjonalna *Etiuda b-moll* — to bezsprzecznie pierwszy błysk przyszłego talentu. A „tonalne" *Harnasie*? Przecież w *Harnasiach* muzykolodzy krytykują najsilniejsze może w ogóle w całej twórczości Szymanowskiego kosmopolityczne wpływy (Strawiński) i dość powierzchowne traktowanie folkloru. Z przykładu tych dwóch utworów (o ile niżej stojących od na wskroś polskiej i ludowej *Stabat Mater* czy *II-go koncertu skrzypcowego*) wydaje się, że trafiają one do Pani przez swój ładunek niemalże literacki (jak w *Harnasiach*) i niemalże sentymentalny (jak w *Etiudzie b-moll*).

A może to jest przyczyną, że uważa Pani *I i II Symfonię* Beethovena niesłusznie za trudniejsze od innych (są z pewnością mniej nowatorskie), bo brak w nich tego potężnego podkładu emocjonalnego — narzuconych przez kompozytora tytułem, a przez krytyków komentarzem — ilustratorskich intencji *Eroiki* czy *Piątej*.

Na tym tle zrozumiałe jest także to rozrzewniające małe słówko „nawet", które używa Pani mówiąc o poprzednikach klasyków: Glucku, Scarlattim czy Rameau, nie mają oni z pewnością tego rozlewnego emocjonalizmu Schuberta czy Beethovena — są bardziej zdyscyplinowani, trzeźwiejsi w wyrażaniu swych uczuć i zaryzykowałbym powiedzenie — bardziej współcześni, bliżsi koncepcji współczesnej muzyki. Ale to, że „nawet" ich się dziś ceni? Daj nam Boże dzisiaj tak wysoki poziom, jaki miała muzyka w XVIII wieku!

Wracając do *Eroiki*, to nie uważam bynajmniej właśnie tej symfonii za utwór Beethovena wyjątkowo trudny i wymagający specjalnego obsłuchania. Jestem przekonany, że dla każdego słuchacza po raz pierwszy stykającego się tzw. poważną muzyką, muzyka ta będzie stanowiła początkowo niezrozumiały, trudny do pochwycenia chaos. Na tym polega właśnie akcja upowszechniania tej muzyki poprzez utwory popularne. Na tej samej zasadzie zbliżenie do muzyki współczesnej może nastąpić tylko stopniowo, po prześledzeniu całej XIX-wiecznej ewolucji, a nie zaczynając od ciężkiej *Sinfonia Domestica* Straussa.

Co mogę jeszcze powiedzieć? Że najgorszą metodą zbliżenia będzie uprzedzenie, przekonanie o bezwartościowości i bezsensie współczesnej muzyki. Wytrwałość z pewnością opłaca. Odkrycie tak głębokiego i bogatego świata przeżyć, jakim jest muzyka Szymanowskiego czy Ravela warta jest tego trudu. Piękna ich muzyki nie można opisać; można się o nim tylko osobiście przekonać, bo podobno muzyka najlepiej po milczeniu wyraża to, co niewyrażalne.

Jan Kowalski

Aktualia księgarniane

KLASYCY I „PÓŁKLASYCY"

Tuż przed samymi Świętami pojawiło się w księgarniach kilka bardzo frapujących, od dawna z niecierpliwością oczekiwanych pozycji. Przede wszystkim: cztery grube, oprawne tomy PIW-owskiej edycji („tymczasowej", przed pełnym wydaniem) **„Dzieł wybranych"** J. W. Goethego. Wydanie, które powinno przyozdobić półki każdego z nie zdecydowanych na dłuższe czekanie miłośników wielkiego poety, zostało opracowane przez J. Z. Jakubowskiego i Annę Milską. Tom pierwszy gromadzi **„Utwory poetyckie"** (310 wierszy w przekładach od A. Mickiewicza do M. Jastruna, drugi **„Utwory dramatyczne"** (dramaty: **„Egmont"**, tłum. K. Iłłakowiczówny, **„Götz von Berlichingen"**, (przekł. W. Lewika) oraz kilka utworów drobnych. Tom trzeci zawiera pierwszą część **„Fausta"** (przekł. W. Kościelskiego), fragment części drugiej oraz dramaty: **„Torquato Tasso"** i **„Ifigenia w Taurydzie"** w przekł. Jana Kasprowicza. Wreszcie w tomie czwartym znajdujemy (przeważnie we fragmentach **„Utwory prozą"**. Warto zwrócić uwagę na niską cenę 60 zł. Nakład (10.000) stanowczo za mały.

Wiele satysfakcji mają ostatnio czytelnicy z dobrej poezji. Na przestrzeni b. krótkiego czasu: Goethe, Aragon (patrz dalej), Gałczyński (**„Liryka"**, o niej także dalej) i... Byron! Wydany przez PIW obszerny wybór **„Wierszy i poematów"** Byrona jest najobszerniejszym z wydanych dotąd w ogóle w Polsce. Dokonujący wyboru (oraz opatrujący go w przedmowę i przypisy) Juliusz Żuławski zebrał w tomie blisko sto utworów poety. Większość przekładów została dokonana dawno (A. Mickiewicz, A. E. Odyniec, J. Kasprowicz, A. Lange), sporo jednak jest i zupełnie nowych. Oprócz drobnych utworów i fragmentów — tom zawiera szereg poematów, jak **„Giaur"**, **„Więzień Chillonu"**, **„Korsarz"** i inne. Również PIW „odgrzebał" i przedstawił czytelnikom nieznaną u nas powieść francuskiego klasyka-realisty z siedemnastego wieku — Scarrona: **„Ucieszna historia"** (przekł. J. Rogozińskiego). Powieść jest zabawną historią przygód wędrującej po siedemnastowiecznej Francji trupy komediantów. Nakładem „Czytelnika" wyszedł potężny tom **„Dziejów"** Herodota. O wartości przekładu mówi samo za siebie nazwisko tłumacza — Jana Parandowskiego. A więc i miłośnicy filologii klasycznej mają dla siebie „gratkę"!

Wydawnictwo „Iskry" obdarzyło nas p e ł n y m (550 stron) wydaniem **„Chaty wuja Toma"** J. Beecher-Stowe, w nowym przekładzie Ireny Tuwim i J. Stawińskiego. Wymowa społeczna powieści „przycierana", łagodzona świadomie przez dawnych tłumaczy — ukazana jest w bieżącym wydaniu w całej pełni, wyprowadzając czytelnika poza „karmelkowe" idee dziewiętnastowiecznego humanitaryzmu. Na uwagę zasługuje barwna, efektowna okładka. Okładki „Iskier" pomysłowe i ładne, walczące z szarzyzną i nijakością, przyciągają uwagę każdego czytelnika. W ogóle kultura materialna książki przechodzi obecnie swój renesans.

Nareszcie w księgarniach nabyć można pełny sześciotomowy komplet **„Trylogii"** H. Sienkiewicza (z ilustracjami J. M. Szancera w wyd. PIW-u). O zapotrzebowaniu na **„Trylogię"**, a szczególnie na jej nie wydawaną osobno pierwszą część, można się przekonać łatwo przejrzawszy choćby leżące na stolikach w niektórych księgarniach „książki życzeń". Należy dodać, iż można również nabyć dwunastotomowe, oprawne w płótno wydanie **„Wyboru pism"** H. Sienkiewicza (PIW). Wybór opatrzony wstępem Leona Kruczkowskiego, ilustrowany przez W. Daszewskiego, A. Uniechowskiego, A. Marczyńskiego, J. M. Szancera, K. Henisza i M. Rudnickiego zawiera: **„Nowele"**, **„Krzyżaków"**, **„Trylogię"**, **„Quo vadis"** i **„W pustyni i w puszczy"**. Nakład 30.000. Drugi nasz klasyk: B. Prus reprezentowany jest na półkach dziesięciotomowymi **„Dziełami wybranymi"** (PIW) oraz trzecim (680-stronicowym) tomem **„Kronik"** (także PIW).

Przejdźmy teraz do „półklasyków", to jest do pisarzy zajmujących z racji swej ogromnej popularności poczesne stanowisko we współczesnej literaturze. Zaczniemy od „własnego podwórka", od **„Liryki"** K. I. Gałczyńskiego. Wydany przez krakowskie Wyd. Literackie wybór wierszy zmarłego przed rokiem poety zawiera 80 liryków z różnych okresów jego twórczości: Od „Szekspira i chryzantem" (1924) poprzez „Koncert forteplanowy" (1929), „Opis domu poety" (1934), „Przed zapaleniem choinki" (1947) do „Pieśni" (1953). Cóż z tego, skoro tomik tak ukochanego przez wszystkich poety pojawił się zaledwie na kilka godzin i zniknął jak meteor! Nakład — 15.000 — a można było śmiało wydać **„Lirykę"** jak **„Pana Tadeusza"**! Zawiedzionym pozostaje oczekiwanie na zapowiedziane wydanie c a ł o ś c i dorobku poety.

Nakładem PIW-u wyszedł mały tomik nowych opowiadań J. Iwaszkiewicza. Sześć **„Opowieści zasłyszanych"** jest głównie owocem licznych podróży pisarza, w czasie których mógł zebrać, „zasłyszeć" różne szczegóły będące tworzywem fabuły przyszłych opowiadań. Tomik budzi duże zainteresowanie.

Bardzo miłym nabytkiem dla czytelników spod znaku „pegaza i liry" będzie tomik **„Wierszy"** Louis Aragona (Czyt.). Wybór nie jest wielki: zawiera kilkadziesiąt najlepszych wierszy z twórczości poety obejmującej okres lat 1939—1952. W tomiku znajdujemy m. in. tak piękne wiersze jak „Oczy Elzy", „Tren na śmierć Victorii Colonny" czy „Walc dwudziestoletnich". Przydałoby się może tylko choćby kilka wierszy wcześniejszych, z okresu nominalnej przynależności poety do grupy nadrealistów.

Wydawnictwo „Iskry" coraz częściej sięga do spuścizny wybitnego „klasyka" literatury egzotyczno-przygodowej Jacka Londona. Najpierw ukazało się nowe wydanie **„Martina Edena"**, a wkrótce po tym dosyć dobrze zestawiony wybór **„Nowel"**.

Już trzecią w tym roku (po: **„Kluczach królestwa"** i **„Gwiazdy patrzą na nas"**) powieść popularnego angielskiego pisarza A. J. Cronina: **„Cytadela"** — wydał PAX. W tym samym wydawnictwie ukazał się tom opowiadań znanej, katolickiej pisarki niemieckiej (autorki wyd. przed wojną **„Chusty Weroniki"** i **„Papieża w Getcie"**) — Gertrudy von le Fort pt. **„Córka Farinaty"**.

Zbigniew Dolecki

RECENZJE O RECENZJE O RECENZJE

„Patrząc na GRUZIŃSKICH GÓRALI"

Jednym z ważnych czynników, kształcących styl kultury tanecznej różnych narodów są warunki geograficzne, topografia terenu. Dowodzi tego obserwacja żywych przykładów, obserwacja podobieństw, istniejących wśród kultur tanecznych plemion górskich w wielu zakątkach świata. Oto gościliśmy niedawno w Polsce po raz drugi w ostatnim dziesięcioleciu Państwowy Zespół Tańca Ludowego Gruzińskiej Republiki Zw. Radzieckiego i mieliśmy możność uchwycić przy sposobności podobieństwa, a zarazem różnice pomiędzy tańcami gruzińskich górali a tańcami naszych juhasów z Podhala.

I tu i tam są to przede wszystkim tańce o charakterze męskich popisów technicznych, mające na celu wykazanie sprawności fizycznej, siły, odwagi, radosne wyżywanie się w mocnym ruchu tanecznym oraz podobanie się asystującym dziewczętom. Popisy te polegają na bardzo rozbudowanej i skomplikowanej technice nóg, przy czym specyficzną właściwością techniki gruzińskiej, wyróżniającą ją spośród wszystkich ludowych kultur tanecznych na świecie — jest stawanie na czubkach stóp, niby klasyczna primabalerina. Z tą jednak różnicą, że tancerce klasycznej ułatwiają to twarde czubki baletowego obuwia (cz. tzw. „baletki") — a gruzińscy tancerze wykonują bardzo trudne ewolucje, szereg podskoków, piruetów itp. na mocno zbandażowanych palcach stóp w miękko przylegającym bucie. Przy nie wyciągniętym podbiciu pozycje na palcach nadają gruzinom charakterystyczny, nieco kanciasty i pełen zaczepnego wdzięku styl wykonania. Cały zresztą styl gruzińskiego tańca męskiego jest bardzo energiczny, mocny, nieco ostry, o krótkich, szarpanych ruchach. U naszych zaś górali, przy całej sile i męskości tańca, przeważa swoboda elastycznych nóg i rozkołysanie luźnych ramion. Zarówno jednak jedni jak i drudzy lubują się w swobodnej improwizacji, w zależnym od własnej fantazji dobieraniu kroków i stopniowaniu trudności ich wykonania.

Pełne skromności, godności a zarazem dyskretnej zalotności są kobiety góralskie; stają się one centrum roztańczonej grupy mężczyzn. Gruzińska solistka Nino Ramiszwili w scenie tanecznej na temat pieśni ludowej „Jakżeś piękną jest dziewczyno" czy w tańcu „Dżejrani" z cyklu „Obrazki ze starego Tyflisu" — jest przedmiotem adoracji wielu tancerzy, z których szczęśliwi wybrańcy mogą przybliżyć się do niej nieco w tańcu.

Jakże wiele jest miękkiej kobiecości w ruchach tanecznych naszych podhalańskich góralek i ich sióstr z dalekiej, słonecznej Gruzji. Lecz gruzinki przyswoiły sobie w ciągu wiekowego procesu wzajemnego przenikania się różnych kultur — wiele elementów z tańca orientalnego. Zachwycają giętkimi ruchami rąk i delikatnych, ruchliwych jak motyle dłoni.

Zespół gruziński pokazał nam również kilka tańców, dla których nie znajdziemy odpowiednika w naszym folklorze góralskim. Jest to w pierwszym rzędzie taniec kobiecy, odznaczający się ciekawą kompozycją „Samaja", ożywiony ruchem stary fresk, w wykonaniu trzech solistek: Mariny Mcheidze, Nairy Żordania i Leili Amaglobeli. Próbą obrazka tematycznego, opartego na motywach ludowych była suita taneczna „U źródła" w wykonaniu grupy żeńskiej i solistki Nairy Żordania oraz jednego solisty Włodzimierza Kuparadze.

Układy wszystkich tańców, dzieło choreografa i kierownika artystycznego zespołu Iliko Suchiszwili, dość proste linearnie, o przeważającym rysunku koła — były nieco zbyt podobne do siebie; wynika to w pewnej mierze z samej prostoty folkloru tanecznego, który, jak u wszystkich ludów górskich, nie rozwija się szeroko w przestrzeni, a koncentruje raczej na skąpej powierzchni.

Całość programu, zachowując zarówno wierność stroju narodowego (kostiumy według projektów Solomona Wirsaładze) jak i akompaniamentu muzycznego w wykonaniu grupy instrumentów ludowych — miała swe wyraźne, zdecydowane oblicze i była istotnie pokazem ludowego tańca, muzyki i stroju narodu Gruzji.

Irena Turska

Autobus odjeżdża 6^{20}

Najnowszy film naszej produkcji nie jest wprawdzie najgorszy, ale i do dobrych z pewnością mu daleko. Niemniej, jest on na tyle symptomatyczny, że warto zastanowić się krótko nad kilkoma problemami jakie nasuwają się po jego obejrzeniu.

Jest to typowy film kameralny. „Autobus odchodzi 6.20" podjął bardzo istotne i dotychczas pomijane w naszej twórczości filmowej zagadnienie — ukazania dzisiejszej rzeczywistości w odbiciu życia osobistego przeciętnego obywatela. Ukazanie moralności socjalistycznej w jej węzłowych przebiegach — życiu rodzinnym.

Niestety, historia zawiedzionych nadziei.

Słusznie wybrana forma kameralna już z góry sugerowała owo spojrzenie na życie codzienne człowieka, jakby przez szkoł powiększające. A więc, nie tylko wyolbrzymienie detali, ale i zwiększenie ich ciężaru gatunkowego, gęstości nasycenia sensualnością. Nie tylko dotarcie do węzłowych zagadnień moralności małżeństwa, ale i niezwykle subtelny i powściągliwy sposób ich ukazania.

Zapowiedź realizacji tego filmu, pamiętam, zaciekawiła mnie. Film miał reżyserować Jan Rybkowski — twórca „Domu na pustkowiu". A więc pamiętając stworzoną świetnie atmosferę tamtego filmu — liczyłem na coś podobnego (oczywiście w sensie formalnego pokrewieństwa). Przeczytany później scenariusz literacki — trochę zaniepokoił. Był to raczej reportaż dziennikarski, pełen błędów dramaturgicznych, niepogłębiony psychologicznie, szkicowy. Ale łudziłem się, że przecież reżyser tworząc scenopis ma jeszcze wielką okazję na filmowo-literackie opracowanie tematu. Niestety, łudziłem się tak do premiery.

Reżyser w sposób bezceremonialny rozpisał scenariusz na obrazki i według tego zrealizował film. Zgromadził wprawdzie zespół bardzo dobrych aktorów (A. Śląska(B. Drapińska, H. Bielicka, B. Niewinowski, J. Ciecierski, J. Duszyński i inni). Ale najlepszy aktor nie zagra dobrze roli, która pełna jest wewnętrznych niekonsekwencji i uproszczeń. Ijest to może trochę paradoksalne, ale Śląska moim zdaniem gra bardzo dobrze, bo tak, jak chce tego od niej scenariusz i reżyser. Ależ scenariusz jest płytki i reżyser nie potrafił go ani na chwilę pogłębić, to trudno wymagać tego właśnie zadania od aktorki i krzywdzące jest pisanie o Śląskiej, że „nie udźwignęła ciężaru roli" jak to stwierdził jeden ze stołecznych recenzentów.

Ten bardzo nieinteligentnie robiony film, wśród swoich tak poważnych błędów warsztatowych, jak montaż i prowadzenie aktora, posiada jeszcze jedną kardynalną wadę, że jest bardzo afilmowo robiony, że jest „literacki".

I w wypadku J. Rybkowskiego brak inwencji filmowej najlepiej potwierdzają te jego filmy, które posiadają dobre scenariusze. I tak dziś wiemy, że zasługą Iwaszkiewicza jest „Dom na pustkowiu", i że na literackim sukcesie Hamery oparte są „Pierwsze dni". W pozostałych wypadkach Rybkowski trzymał się sztywno scenariuszy i dlatego wraz z nimi — gdy były słabe — nie wychodził poza banał.

„Autobus odjeżdża 6.20" jest mało kosztowną (z racji choćby tego, że film po raz pierwszy w polskiej produkcji realizowany był w trzy miesiące) nauką, jak nie należy robić filmów kameralnych i że jednocześnie należy robić je częściej — widzowie lubią bowiem bardzo tego rodzaju filmy.

A. O.

„CZTERECH GBURÓW" w Operze Warszawskiej

Nareszcie opera komiczna! Nowomianowany dyrektor Opery Warszawskiej prof. Walerian Bierdiajew nie darmo uważany jest nie tylko za znakomitego artystę i świetnego organizatora, lecz i za wytrawnego znawcę potrzeb operowej sceny i... publiczności.

A właśnie dzisiejsza publiczność, wypełniająca tak tłumnie widownie teatrów, spragniona jest śmiechu, szczerego, beztroskiego śmiechu, niefrasobliwego żartu i humoru. Dlatego też wystawienie opery buffa, jako pierwszej pozycji repertuarowej, w bieżącym sezonie Opery Warszawskiej powitać należy z wielkim uznaniem i zadowoleniem.

W wyborze samej opery sięgnięto śmiało do nowych, w Polsce mało znanych pozycji. Któż słyszał bliżej o „Czterech gburach", Ermanno Wolf-Ferrari'ego, włoskiego kompozytora pierwszej połowy wieku XX? Warszawa przynajmniej ogląda po raz pierwszy tę miłą, pełną życia i nieco rubasznego humoru operę, do której libretto napisane zostało według komedii znakomitego Carlo Goldoni przez G. Pizzolatto. Muzyka co prawda nie ma w sobie nic z XX-wiecznego nowatorstwa, nawiązuje raczej wyraźnie do stylu dawnej opery buffa. W jej melodyce i harmonii odezwie się nieraz nuta znana z operowych dzieł mistrzów XIX wieku. Odznacza się ona jednak wielką plastycznością, niezwykle dowcipną orkiestracją, pulsuje życiem i temperamentem.

Niemało trudu zadał sobie zespół Opery Warszawskiej w tak krótkim czasie wystawiając mało znaną i wcale nie łatwą operę. Ten pośpiech, pewne „niedotarcie" znać jeszcze było na premierze, czasem w scenach zespołowych, czasem w aktorskich brakach tej czy owej postaci. Bowiem opera ta, wokalnie bardzo trudna przez swą wielką ilość ensembli i scen zbiorowych, dająca niewiele możliwości dla solowych popisów śpiewaczych, wymaga jednakże od wykonawców wysokiego poziomu gry aktorskiej. To przecież doskonała komedia z całą galerią zabawnych, charakterystycznych typów, rozgrywająca się na tle muzyki w tradycyjnych ramach opery. I dlatego element gry scenicznej jest tu co najmniej równoważny z muzyką i śpiewem. A niestety nasi wokaliści nie zawsze umieją poradzić sobie z tym zagadnieniem.

Przejdźmy jednak do plusów. Z uznaniem powitać należy powrót do Opery Warszawskiej Haliny Mickiewiczówny, która z wdziękiem i temperamentem kreowała rolę Lucietty. Barbara Kostrzewska stworzyła pełną życia i werwy postać Felice. Dużo scenicznej swobody i nerwu wykazałą w roli Mariny Joanna Krysińska, nadasaną Małgorzatą była Bożena Brun-Barańska. Z mężczyzn komiczną, groteskową postać stworzył Władysław Skoraczewski w roli bogatego mieszczanina Canciano, zabawnym gburem był Kazimierz Poreda jako antykwariusz Lunardo. Józef Wojtan jako kupiec Simon oraz Feliks Rud jako Maurizio nie wydobyli wszystkich charakterystycznych rysów swych postaci. Mocno szablonowo potraktowali też swoje role Lesław Wacławik jako Filipetto oraz Jerzy Kobza jako hrabia Riccardo.

Piękną oprawę dla przedstawienia stanowiły ażurowe i pełne słońca dekoracje Zenobiusza Strzeleckiego, można by natomiast dyskutować na temat zbyt jaskrawych, nawet jak na włoskie stroje, zestawień kolorystycznych w kostiumach. Słowa uznania należą się też Wiktorowi Bregy za reżyserię i Aleksandrowi Tarskiemu za kierownictwo muzyczne. W sumie przedstawienie udane, z którego publiczność, wychodzi ubawiona i roześmiana.

Alicja Rutkowska

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wielkopłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5. Zam. nr 45.
B-6-130003

MATEUSZ ŻURAWIEC

W święto naszego MIASTA

(zamiast okolicznościowej laurki)

Jak to święto — dzień 17 stycznia — nazwać? Imieniny Warszawy? Rocznica nowych jej urodzin? Wolno nam chyba zrezygnować z nazw. Ale nie wolno zrezygnować ze wspomnień. Osobistych wspomnień. Nie potrzebujemy się tych wspomnień wstydzić. Określają one po prostu jak bardzo Warszawa jest n a s z y m miastem. Dlatego w dniu Jej święta poświęćmy Jej — zamiast okolicznościowej laurki — krótkometrażówkę wspomnień osobistych...

*

Projekcja pierwszych scen z krótkometrażówki wspomnień jest u mnie jakaś zamazana, drży mgłą, kontury miasta są wyblakłe, jak na starych kronikach filmowych, wmontowanych w nowy film dokumentarny. Migają więc pstre neony u braci Jabłkowskich. Ciasne kina na brudnej Elektoralnej, gdzie za sześćdziesiąt groszy oglądało się dwa filmy, dodatek PAT-a, kolorówkę Disney'a, zaś za resztę (bo zostawało jeszcze sześć groszy) kupowało się kleiste ciągutki. Obraz faluje, a nad nim rozpościera się melodyjnym kołysem cichy głos zakadrowy:

Warszawo! ach, któryż to raz
Od murów twoich biegłem
precz —
W oddali nikł Zygmunta miecz,
Zamek królewski, Nowy Zjazd...

Głos się oddala, zagłusza go narastający szum. Ściemnienie. Przejście.

*

Exodus Warszawy. W oddali znikł Zygmunta miecz. Szosami walą tłumy. Spływają w wielką rzekę jesiennej powodzi. Ku rzece pikują samoloty. Rzeka bełkoce strachem, burzy się, pieni. Samoloty odlatują, lżejsze o potworność bomb. Na brzegu wracającej w swe koryto rzeki pozostają bezładnie rozrzuceni topielcy. Temu, który leży najbliżej rowu i uniósł ku niebu nieruchome oczy, ktoś przykrywa gazetą to, co było twarzą. Kamera pikuje ku twarzy jak samolot. W kadrze już tylko strzęp gazety. Powolne ściemnienie pozostawia na przesyconej krwią szpalcie słowa: „...do ostatniej kro .". I te słowa zabiera mrok.

*

Przejście. Z mroku koliście topniejącego wynurza się rozbłyskany we wrześniowym słońcu szczyt radiostacji. Głos zakadrowy skrzeczy: „Das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt: Die Stadt Warschau, die sich gestern bedingungslos ergeben hat, wird nach Erledigung der notwendigen Vorbereitungen voraussichtlich am 29 September besetzt werden". Słychać trzaski, jakby włączała się inna radiostacja. Stalowy maszt coraz smuklej błyska w słońcu. Zbliżenie kamery. Okazuje się, że to już nie szczyt radiostacji, lecz znowu Zygmunta miecz. Z uciszających się trzasków wypływa szeptem gorzko — ironiczny, smutny głos:

A później przez Kierbedzia most
Warszawo! powracałem znów,
Nieśmiały...

Gwałtowne ściemnienie. Dalszy ciąg wiersza umiera w czerni ekranu.

*

Przejście. Buty. Podkute, ciężkie buty. Widać tylko buty, ale jednocześnie widać, że są to buty d e p c z ą c e. Stłamszony, skopany przez tłum butów głos zakadrowy nabrzmiewa gorzką ironią:

Coś sola w oku naszych miast,
Warszawo! kocham nóg twych
rytm...

Wiersz cofa się przed napierającą pieśnią marszową: hajli-hajla-hajlo...

*

Znowu mrok. Mrok, który trwa na ekranie tak długo i jest tak napięty, że każdy z widzów musi się domyślić, iż jest to mrok pięciu lat. Mrok puchnie. Jest w nim jęk, walka, nienawiść i żal. Pokazuje się krew. Mrok nawilga krwią. Krew rozrzedza mrok. Kropla krwi rozpryskuje się o pobielałe tło. Zbliżenie. Najazd kamery na kroplę krwi...

*

Przejście. Kropla krwi obrazuje się małą, pięciokońcową gwiazdą, wczepioną w kudły wielkiej baranicy na głowie pucołowatej dziewczyny. Dziewczyna jest w szarym szynelu, utytłanych śniegiem walonkach i jednopalczastych rękawicach. Uśmiecha się do płynącego obok niej tłumu. Czerwonym lizakiem milicyjnym wskazuje kierunek ruchu. Ruch jednokierunkowy. Ku Warszawie.

*

Kamera wędruje w kierunku wskazanym przez lizak: gdzie n i e błyszczy miecz Zygmunta. Kamera zsuwa się po n i e i s t n i e j ą c e j kalenicy. Wreszcie znajduje ją — powalonąi pękniętą. Odnajduje miecz odnajduje krzyż. Wolno, bardzo wolno rusza w panoramiczną wędrówkę ku miastu. Obejmuje spojrzeniem całe — poranione, skopane, chore. Wraca na plac Zamkowy. Pokazuje, że wszystko zniszczone. Tylko Wisła ocalała. Obok zwalonego mostu — stała się mostem. Idą przez lód korowody ludzi. Kamera wędruje wraz z nimi. Zbliżenia. Jednemu pomaga odnaleźć „jego" ulicę. Prowadzi go ku kartce przyklejonej na kikucie komina: „Ada i Czerniewscy w Pruszkowie. Jul nie żyje. Szukaj nas u Kazików" Inne zbliżenie. Kamera zatrzymuje się przy przewróconym tramwaju. Na ścianie tramwaju napis w kadrze: „Dziś flaki z pulpetami".

*

Przejście. Kamera pokazuje walonki, opinające zgrabne łydki dziewczęce, wędruje powoli ku górze, ukazując szynel ściągnięty kokieteryjnie pasem, wreszcie na piersiach zgiętą rękę z milicyjnym lizakiem. Widz spodziewa się twarzy pyzatej dziewczyny w czapie z czerwoną gwiazdką, wpiętą w kudły baranicy. Ale to już inna twarz. Twarz Lodzi-milicjantki. Następują teraz zdjęcia trickowe. Walonki zmieniają się na błyszczące oficerki, oficerki na letnie trzewiki. Poza linią dziewczęcych nóg narasta ruch ulicy. Pokazują się pierwsze tramwaje, coraz więcej aut. Narasta tempo zdjęć trickowych. Lodzia wskazuje lizakiem na lewo. Kamera idzie w tym kierunku: wyrasta dom. Lodzia wskazuje lizakiem na prawo. Kamera idzie na prawo: wyrasta dom. Zdjęcia trickowe nakładają się na siebie. Taniec kamery coraz żywszy, coraz bardziej rytmiczny. Co krok — dom.

*

Przyśpieszone tempo projekcji. Sekwencje zmieniają się błyskawicznie. Powstaje niemal surrealistyczna kombinacja połączeń. Trasa W-Z, MDM, Stare Miasto, wreszcie Pałac Kultury i Nauki, a między nimi Muranów, Młynów czy Mirów wyskakują w trickowych ujęciach najprzód niby bezładnie, a potem układają się w planową całość. Reżyser krótkometrażówki inicjuje nawet kilka dowcipów. Oto lizak Lodzi (dawno już przywróconej bardziej kobiecym zajęciom) bębni po problematycznych ozdóbkach Pałacu Kultury i Nauki. A wiatr przykleił kartkę „Dziś flaki z pulpetami" nad wejściem do „Stolicy". Niewidzialna ręka wraziła odymioną rurę od pieca w jedno z okien domu na MDM, gdzie akurat brakowało centralne ogrzewanie. Na koniec wreszcie podchmielony głos zakadrowy nuci z ostentacyjnym rozrzewnieniem: „Na lewo most, na prawo most..."

*

Przejście gwałtowne jak dysonans. Na ekranie okładka „Tygodnika Polskiego" wydawanego przez zbłąkańców emigracyjnych. Palec pokazuje datę: „Nr 30(135) z dn. 5 sierpnia 1945 New-York". Palec przewraca kartki. Zatrzymuje się przy artykule „Mosty Warszawy". Pokazuje nazwisko autora: Zygmunt Nowakowski. Odwraca kartkę i podkreśla paznokciem jedno z końcowych zdań artykułu o mostach Warszawy: „Nowe zbuduje nowo Warszawa. Będą jeszcze piękniejsze, dostatnie, szerokie..."

*

Szybkie przejście. Kamera strzela w perspektywę Śląsko-Dąbrowskiego. Przejeżdża szybko jak po strunie po upiększonej linii Poniatowskiego. Ukazuje napiętą cięciwę mostu Średnicowego i Kolejowego.

*

Przejście. Na ekranie znowu ukazuje się kartka „Tygodnika Polskiego". Palec stuka znacząco w dalszy ciąg przerwanego zdania: „...bo zadaniem Warszawy jest mościć drogę z Zachodu na Wschód, a zarazem bronić Zachodu, być jego prawdziwym przyczółkiem mostowym, gdy zagraża Wschód". Palec odwraca jedną kartkę wstecz. Jest tam fotografia autora artykułu „Mosty Warszawy". Starszy pan w okularach patrzy smutnie i mgliście.

*

Przejście. Wyrwana i zmięta kartka z „Tygodnika Polskiego" w takt melodii „Na lewo most, na prawo most" kolebliwie usiłuje się wznieść na wietrze ku wieżycy Pałacu Kultury i Nauki. Opada jednak bezsilnie. Podchodzi do niej babcia-sprzątaczka i laską ze szpikulcem przekłuwa bezradny kawałek papieru. Wrzuca go do kosza, nucąc z zapałem godnym lepszej pieśni: „...a środkiem Wisła płynie..." Ściszenie. Melodia nareszcie się oddala.

*

Ujęcie finałowe. Klamra przypomnienia: na ekranie panorama zburzonej Warszawy i głos zakadrowy, powtarzający wiersz-refren:

Warszawo! ach, któryż to raz
Od murów twoich biegłem
precz —
W oddali nikł Zygmunta miecz,
Zamek królewski, Nowy Zjazd...

Zamglona panorama zniszczonej Warszawy przechodzi w kontur miasta zwycięsko odbudowywanego. Głos zakadrowy wzmacnia się o jeden ton, ton radości i mocnej nadziei:

A później przez Kierbedzia most
Warszawo! powracałem znów...

Ściszenie. Panorama Warszawy odbudowywanej roziskrza się powoli.

Mateusz Żurawiec

JERZY OLKIEWICZ

ALGEBRA I RÓŻE

NAJWIĘKSZYM mówcą świata jest sukces. Dlatego wszystko, co napisałoby się o plakatach Trepkowskiego będzie blade i ciche w porównaniu z wymową sukcesu, który im prawie zawsze towarzyszył.

Na płotach, na ścianach, na murach widzieliśmy jego plakaty zwięzłe; treściwe przez to, że treści w nich było bardzo mało. Trzy, cztery elementy, milczące, pozornie obojętne, które zgrupowane razem przerywały swoje milczenie, zaczynały rozmowę, kłótnię, wykrzykiwały zdanie — logiczne, jednoznaczne, mocne.

Trepkowski znał potencjalny ładunek energii zawarty w każdym przedmiocie, wyczuwał już niemal nie fizyczne, ale chemiczne powinowactwa, które umożliwiały przy zetknięciu reakcję. W czasie reakcji wyzwalał całą ukrytą siłę i dynamikę. Pokazywał plakat z triumfem chemika, który z paru pierwiastków stworzył nową substancję. Pokazywał plakat z dumą matematyka, rozwiązującego równanie. Matematyk zdejmował okulary, chemik ściągał fartuch, pozostawał artysta — bo plakat zapominając o swojej matematycznej konstrukcji zaczynał mówić, grać i śpiewać. Jeżeli wtedy jego autor podobny był do chemika — to do tego, który w retorcie stworzył żywego człowieka.

Akcesoria plakatów Trepkowskiego to zwykle przedmioty martwe — chełm, dom, książka, kapelusz, rusztowanie; rzadziej kwiaty czy ptak; jeszcze rzadziej człowiek. Człowiek nie jest bezpośrednim aktorem, ale zawsze reżyserem; siedzi w budce suflera — jest sprawcą odpowiedzialnym za to, co się dzieje na scenie; wychyla co chwilę głowę, sprawdzając czy wszystko jest w porządku. Podnosi na żurawiu symboliczny napis „Warszawa" z gołąbkiem Pokoju, odpoczywa nieopodal swojego tłumoka w „Moich uniwersytetach" Gorkiego.

Trepkowski, oczyszczając swój plakat ze wszystkiego, co nie jest niezbędne, doprowadzając go do najbardziej lakonicznej formy nie popełniał z pewnością wielkiego błędu, jeśli umieszczał postać ludzką na dalszym planie. Skoro wszystko w tych plakatach mówi o człowieku, po co jeszcze sam człowiek.

I plakaty te były bardziej ludzkie niż plakaty Zakrzewskiego zaludnione zawsze tymi samymi, zawsze tymi nudnymi, zapatrzonymi gdzieś w nieskończoność ludźmi; worki z sianem, którym na imię człowiek.

Cechą nieodłącznie związaną z lapidarnością środków Trepkowskiego jest monumentalizm jego plakatów. Zwykle liternictwo spełnia w nich rolę jedynego ornamentu.

Zamiłowanie do dużych, kanciastych, statycznych form sprawia, że nie są to plakaty miękkie, albo urocze — ich wdzięk jest surowy, często niemal ascetyczny. Zwracają uwagę swoim skupieniem, krzyczą, ale krzyk ten jest urwany — tym bardziej ostry.

Uderzająca jest zawsze trafność wyboru poszczególnych elementów kompozycji Trepkowskiego i zrównoważenie ich wzajemnego stosunku. Ostateczna forma plakatu jest rzeczywiście formą, której nie można już w żaden sposób naruszyć. Słowo, które Trepkowski buduje z poszczególnych liter plakatu — wiązki kwiatów, szarfy, kurtyny, światła reflektora — jest już słowem określonym. Każda zmiana będzie błędem ortograficznym.

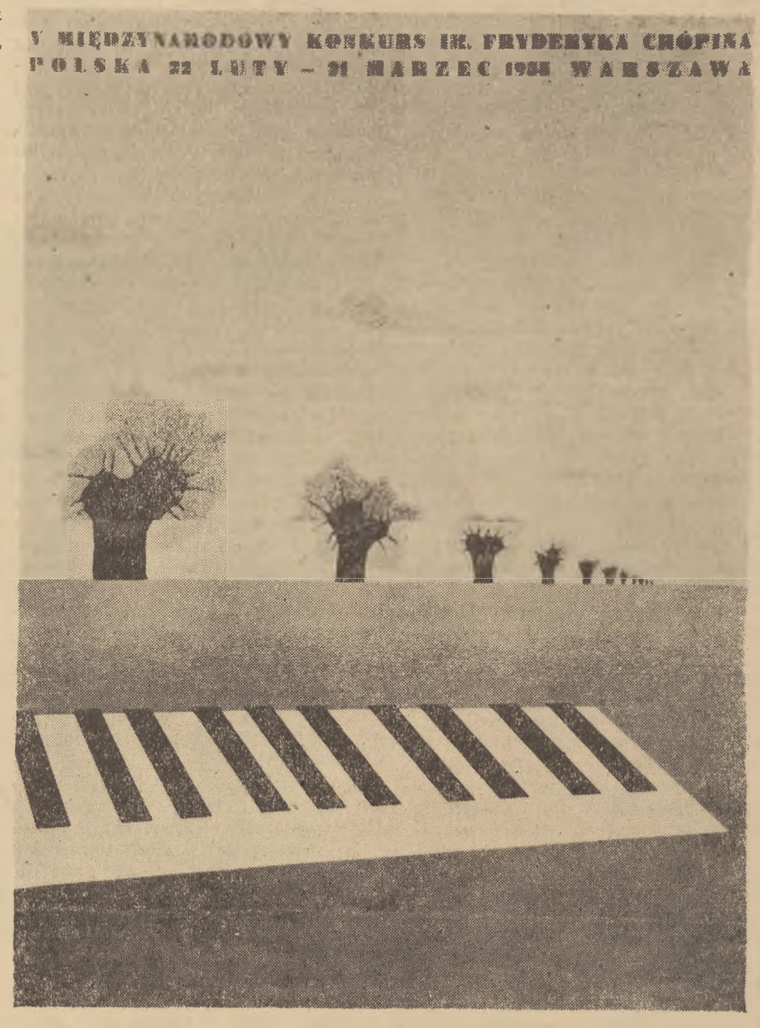

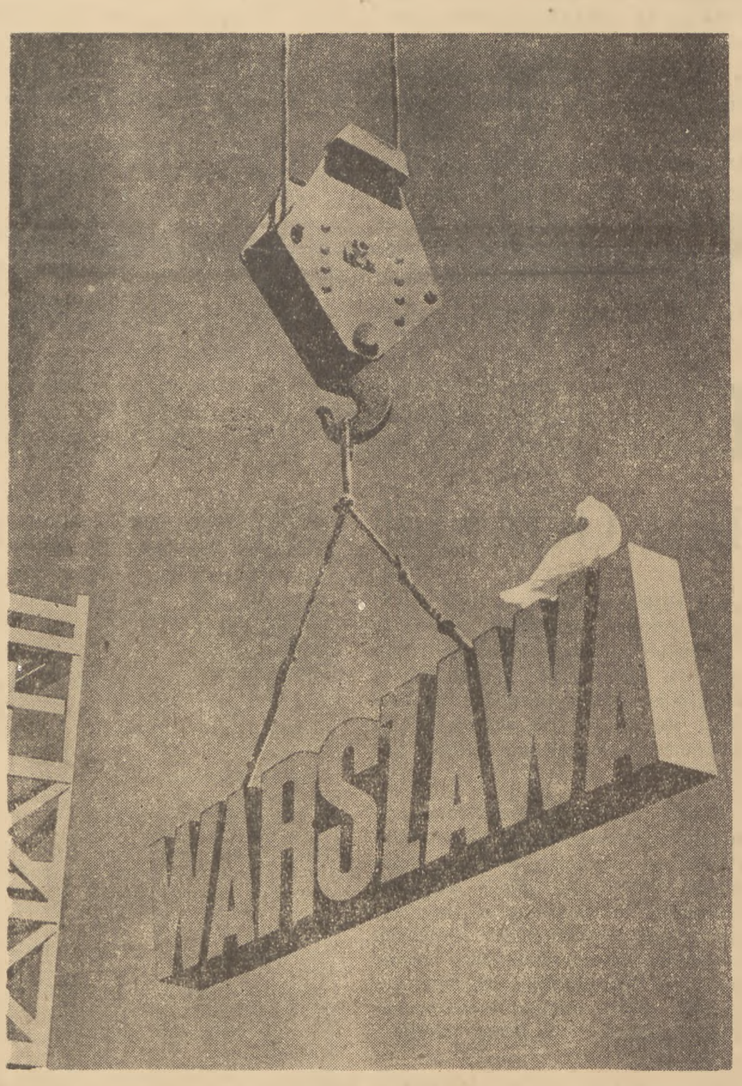

Poszukiwania tej bezbłędnej formy przypominają trochę popularną układankę dla dzieci. Dziecko mając dwanaście sześcianów, a na nich z każdej strony fragment innego obrazka, kombinuje, składa, dopasowuje poszczególne klocki tak aby otrzymać kompletną kompozycję — konia, ptaka, czy wóz. W plakatach Trepkowskiego wszystkie klocki układają się w jeden całościowy obraz — noga konia nie wyrasta z tułowia owcy.

Nawet dowcip skojarzeń Trepkowskiego jest opanowany; najświetniejszy, najdowcipniejszy pomysł podany jest w poważny, zrównoważony sposób; czasem jest to niemal dowcip tragiczny. Trepkowski ma w grafice postawę świetnego causera, opowiadającego swoje anegdoty z poważną twarzą, bez podnoszenia głosu.

Kolor służy mu też zwykle jako podbudowa atmosfery a nie jest składnikiem decydującym. Zamalowuje kolorem tę przestrzeń w plakacie, w którą nie może wsadzić przedmiotów. To prędzej zło konieczne, niż współrzędny partner w kompozycji.

Geneza plakatów Trepkowskiego była raczej mózgowa, niż plastyczna. Dominantą stawał się literacki pomysł — jasny i precyzyjny — ubierał go w plastyczną formę równie oszczędną i przejrzystą. Może ta literacka geneza była w pewnym stopniu przyczyną plastycznej lakoniczności jego kompozycji — plakat był gotów zanim go Trepkowski wykonał.

Barwność plakatów Tomaszewskiego, gdzie kolor świetnie wydobywa i potęguje nastrój i wdzięk, to element jego na wskroś plastycznego sposobu myślenia. Mózgowe plakaty Trepkowskiego obywały się bez tego bogactwa — może jego wcale nie potrzebowały. Z orkiestry środków plastycznych Trepkowski wybrał perkusję; częściej grał na bębnie, niż na wiolonczeli. I to jest przyczyna siły i ostrości jego plakatów — umiejętności natychmiastowego przekonywania.

Banałem będzie mówić o stracie jaką grafika nasza poniosła przez śmierć Trepkowskiego. Tę stratę każdy odczuje nie oglądając już jego plakatów.

Ale co będzie z plakatami starymi? Z pewnością zostanie urządzona zbiorowa wystawa prac Trepkowskiego. Bo plakat — ta sztuka na płocie — to sztuka równie niemal nietrwała jak gra aktorska. Obie żyją tylko na deskach — z obu pozostają strzępy — tu strzępy papieru, tam strzępy wspomnień.

Wydanie monografii Trepkowskiego jest chyba obowiązkiem wszystkich tych, którzy mają co wspólnego z grafiką. Byłaby to pierwsza rehabilitacja za jedyne nieudane wydawnictwo „Plakat polski" o tak nieszczęśliwym wyborze przykładów. Oglądając większość zamieszczonych tam reprodukcji można by zwątpić o powszechnie przecież podkreślanym wysokim poziomie artystycznym polskiego plakatu.

A jak wiele ten poziom zawdzięcza świetnym pracom Trepkowskiego.

Jerzy Olkiewicz

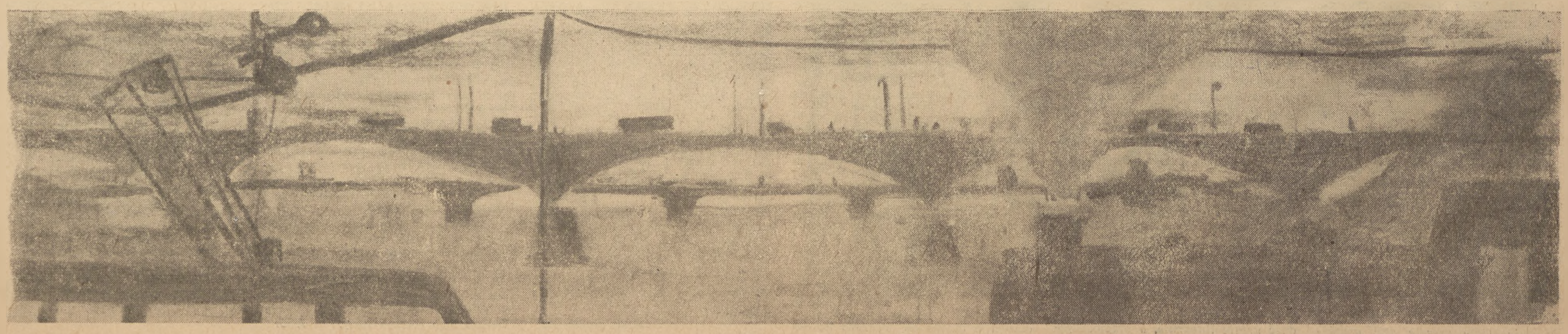

rys. Gabriel Rechowicz